



ANNA
LEWICKA

*Wśród Dzieci
i Młodzieży
Różnych
Ludów*

"KLISZ"

Pochopeniu Anteriori na drien' Imierin
od cici „Anieli”
Chomranice 13/V. 1934.

Wśród dzieci i młodzieży
różnych ludów.

K 225 720
991 734 II

—

2.031640/13



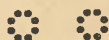
Drukiem Artura Goldmana we Lwowie Sykstuska 19. Tel. 8-74.

5.05 951

ANNA LEWICKA

Wśród dzieci i młodzieży różnych ludów

z 30 ilustracjami w tekście



ŁWÓW — SPÓŁKA NAKŁADOWA „ODRODZENIE” — 1927

TEJŻE AUTORKI

wyszły następujące książki i opowiadania dla dzieci i młodzieży:

Za Ojczyznę

Rodzina wygnańców — dwa wydania

Miłosz

Korona Bolesława Chrobrego

Na kresach

W niewoli

Litwinka

Za światłem

Jędrzek Góralczyk — dwa wydania

Dzielny Chłopiec

Pod ziemią

W obronie dziecka

Bez opieki

Janko z Żarnowiec

Straszne Zamczysko

Zakładnicy lwowscy

Za Napoleonem

Nad wodami Nilu

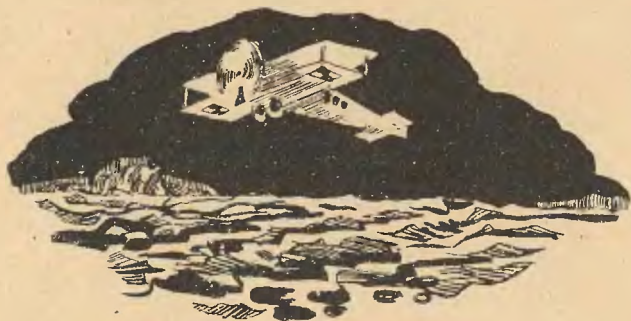
Oyuki

Z naszych pól i lasów — dwa wydania

*O wynalazkach z przed lat tysięcy i najnowszej
doby* — dwa wydania.

SPIS RZECZY:

	Str.
1. W państwie słońca	5
2. W raju dzieci	27
3. Wśród najdzikszych	57
4. W kraju dziwów i czarów	75
5. Wśród czarnych ludzi	95
6. Na drugiej półkuli	104
7. W świecie lodów	125
8. Na północnych krańcach Europy	137
9. Nad fiordami	149
10. Na ziemi wydartej morzu	157



Mój starszy brat ukończywszy wyższą szkołę lotniczą wstąpił do polskiej lotniczej służby wojskowej. Służbę tę miał rozpocząć za trzy miesiące, a tymczasem postanowił własnym samolotem przelecieć ponad całą kulą ziemską.

„Weź mnie z sobą, prosiłam, tak bardzo chciałabym z tobą przelecieć ponad ziemią i zobaczyć, co robi młodzież w rozmaitych krajach, jak żyje, czego się uczy, jak się bawi“.

Brat spełnił moje życzenie. A ja opowiem wam, co zobaczę w tej podróży.

W państwie słońca

Samolot czeka, skrzydła jego gotowe do lotu. Siadajmy! Pojedziemy daleko... daleko...

Przelecimy nad ziemią całą i zobaczymy z góry, co robią dzieci i młodzież różnych krajów. Zobaczymy, jak wyglądają, jak się ubierają, co robią, czego się uczą.

Od wschodu słońca szła cywilizacja. Tam pierwsze robiono wynalazki, a więc i my stamtąd podróż naszą zaczniemy.

A więc jedziemy do Chin.

Dziwny to kraj, dziwni ludzie. Wszystko tam inaczej jak u nas. Ludzie na znak żałoby białe wdziewają szaty, na znak uszanowania nakrywają głowy; dzieci od nauczyciela, mężczyźni od szacunku godnej kobiety odwracają się plecami, chcąc komuś grzeczność powiedzieć, wymyślają sobie, swojej rodzinie, swemu domowi. My, witając się, podajemy ręce, oni zaciskają pięści. U nas kłamstwo jest występkiem, a nawet grzechem, w Chinach wszyscy kłamią, bo ich grzeczność polega na kłamstwie, dobre wychowanie nakazuje jak najgorzej wyrażać się o swoich, czemu słuchający powinien przeczyć. W Chinach za przewinienia biją nie tylko dzieci, ale nawet wysokich dostojników, którym to wcale nie ubliża.

Lecimy więc na wschód. Przelatujemy nad azjatycką Rosją południową, nad Mongolją i dolatujemy do Chin, zwanych przez Chińczyków „Państwem Słońca“.

Na samym wstępie spostrzegamy olbrzymi mur po części w ruinach, w niektórych miejscach jeszcze cały, w odstępach sterczą baszty, a mur ten jest tak szeroki,

że jadące po nim dwa wozy z łatwością wyminąćby się mogły.

To ów sławny mur, wybudowany przed lat tysiącami, którym Chińczycy otoczyli się przed najazdem i oddzielili się od reszty świata, aby do „państwa słońca“ nikt się nie wtargnął, nie podpatrzył, co robią jego mieszkańcy, czem się zajmują. I oddzielili się tak dobrze, tak nic z siebie nie dali obcym, nic sobie nie przyswoili, że do dziś dnia zachowało się u nich wiele dawnych zwyczajów i obyczajów.

Nasz samolot zniża się. Ludzie wybiegają z małych domków, zadzierają głowy, nie widzieli tu jeszcze samolotów, myślą, że to może latawiec olbrzymi, więc patrzą zdziwieni na tego olbrzymiego ptaka, którego żaden mur, żadna granica powstrzymać nie może. A ludzi tych dużo, bardzo dużo, bo niema na świecie państwa tak gęsto zaludnionego jak Chiny. Wyobraźcie sobie, że wsie tam liczą często tyle ludzi, ile w Polsce średnie miasto.

Lecimy nad wielkimi polami, poprzeryzanymi kanałami, to jest rowami wypełnionymi wodą, nad łanami ryżu, który jest ich głównem pożywieniem, dalej nad łanami zarosniętymi krzewami herbacianymi, wśród których stoją lub siedzą dziewczynki przykucnięte do ziemi i obrywają listki. To znowu widzimy całe przestrzenie morwowych krzewów z których dziewczynki chińskie obrywają drobne gałązki i liście. Gałązki te poniosą do bambusowych domków, w których hodoją jedwabniki; bo Chiny, to ojczyzna herbaty, jedwabiu, ojczyzna ryżu i trzciny bambusowej.

A dzieci te wyglądają trochę inaczej jak nasze. Nie mają rumianych twarzyczek, barwa ich skóry żółta, oczy osadzone ukośnie, chłopcy i dziewczynki ubrane jednakowo w długie spodniki i niebieskie kaftany, bo kolor niebieski jest kolorem ludzi ubogich. Przy robocie niewiadać chłopców, chłopcy już od piątego roku życia zaczynają się uczyć, a od siódmego chodzą do szkoły, dziewczynki nie chodzą do szkoły, nie uczą się czytać i pisać, pracują od lat najmłodszych. Właśnie kilka dziewczynek wstało z pod krzaków, niosą ostrożnie w tackach podobnych do naszych przetaków, listki herbaty i uważnie wsy-

pują je do worów. Najmłodsze, najdrobniejsze listki wysypują do innych worów, większe do innych, a połamane drobne gałązki i stare liście jeszcze do innych. Z tych najdrobniejszych będzie najlepszy, najdroższy gatunek herbaty, z gałązek i starych liści najtańszy. Jeszcze te listki będą skręcały, pomogą im w tem stare kobiety, potem je ususzają, ususzone zakupi kupiec, odwiezie do wielkich składów, skąd je wyszłą na cały świat, bo nigdzie nie rodzi się tak wyborna herbata jak w „Państwie Słońca“.

Patrzmy w inną stronę, gdzie są gaje morwowe.

I tu stare kobiety i dziewczynki oblamują młode gałązki, pełne liści, wiążą w płachty i odnoszą do domków w których hodują jedwabniki. W izbie pełno półek długich jak ściany, ustawionych jedne nad drugimi; wszystkie posypane gałązkami morwowymi. W izbie słyszeć wielki szum. To gąsienice jedwabnika dwie, jasne, gryząc mocnymi szczękami liście, robią taki hałas. Za kilka godzin z przyniesionych listków zostaną tylko żeberka, dziewczynki oczyszczą półki i znowu przyniosą nowy zapas liści. Po kilku dniach gąsienice jedwabników wysnują z siebie długie, na paręset metrów jedwabne niteczki, owiną się niemi i zamieniają się w poczwarki. Poczwarki owinięte w przędzę wyglądają jak małe jajka gołębie, są białe, żółtawe lub szarawe, a nazywają je kokonami. Poczwarki spać będą dwa tygodnie, a gdy w kokonach przemienią się w motyle, obudzą się do nowego życia, przebiją w oprzędzie dziurkę i wylecą jako białe motyle-ćmy. Ale hodowcy pozwolą tylko małej części motyli wylecieć z oprzędu, bo z przegryzionych i postrzępionych nitek nie byłoby pożytku, więc sparzą kokony, poczwarki uśmiercą a jedwab rozprzędą.

Lecimy dalej, widzimy znowu co innego.

Nad wodą rosną wysokie proste trzciny — to bambus, z którego Chińczycy wybudują domy, wyrobiją sprzęty i dużo, dużo pożytecznych rzeczy.

Tam płynie rzeka, na niej cały szereg łodzi, na łodziach roi się od ludzi, a wszyscy krzątają się żywo.

Na łodziach tych mieszkają rybacy, łodzie są ich domami, bo w Chinach jest moc taka ludzi i biedy tak wiele,

że nie każda rodzina nawet na wsi może mieć własny, choćby najmniejszy bambusowy domek, więc rybacy mieszkają w łodziach. Od deszczu chroni ich na prędcie ustawiony daszek lub duży parasol. Tu żyją, gotują, piorą, hodują kaczki, łowią ryby, a łowią je także inaczej jak rybacy europejscy. Ryby łowią im przyuczone do tego ptaki, które nazywają się kormorany. Ptaki to wodne, umieją nurkować. Ptak taki upatrzywszy z góry rybę rzuca się szybko w wodę, zanurza się, chwytą rybę i wynosi na brzeg, a chociaż sam żywi się rybami, nie połknie żadnej bo nie tylko jest do tego przyuczony, ale nadto rybak wiąże mu szyję tak ciasno, ażeby ryba przez przełyk przesunąć się nie mogła. Dopiero, gdy już sporo ryb nałowi, rozwiążą mu szyję i pozwolą zjeść kilka.

Patrząc na ptaki łowiące ryby spostrzegamy mnóstwo mężczyzn piorących bieliznę, a nie widziałam między piorącymi ani jednej kobiety. Później dopiero dowiedzieliśmy się, że praniem w Chinach zajmują się wyłącznie mężczyźni.

Patrząc z góry, widzimy ogromną wieś, pełną malutkich domków. Warto by się im bliżej przypatrzeć. Prosimy więc naszego pilota, żeby opuścił samolot i pozwolił nam wysiąść.

Schodzimy na ziemię. Zaraz zbiegło się dokoła nas mnóstwo ludzi, przyglądają się samolotowi, ale nie dziwią bardzo, bo podania chińskie wspominają o tem, że przed lat tysiącami Chińczycy już urządzali samoloty — nie wiemy czy to prawda — ale ci co nas otoczyli, oglądali maszynę i mówili: „a to tak wygląda ten latawiec co może nosić ludzi“.

Wchodzimy do jednego z domków. O jakież on nędzny! Zbudowany z bambusu, bez podwalin wprost na wilgotnej ziemi, szpary pomiędzy bambusami zaklejone papierem, w oknach także rozpięty papier. W domku mało bardzo sprzętów, na noc rozścielają na podłodze maty i na nich spiąją, podkładając pod głowę stołeczek. W kącie spostrzegamy ściśle do ściany domu przylegającą, wielką, płaską skrzynię wylepioną z gliny i kamyków. To piec, w którym w chłodne dni palą z zewnątrz domu, na nim gdy

zimno sypia cała rodzina. Dzieci pilnują ognia, a widać dobrze go pilnują, skoro ten domek z trzciny i papieru dotąd nie spłonął.

Koło domków krzątają się dziewczynki, sprzątają, szyją, bawią młodsze rodzeństwo, chłopców nie widać nigdzie. Siedzą w szkole i uczą się z mozołem, bo w Chinach każdy mężczyzna, który pozdaje egzaminy, choćby pochodził z najuboższej i najnędzniejszej rodziny, może zostać najwyższym dostojnikiem, a na odwrót, syn najwyższego mandaryna, gdy nie pozdaje egzaminów, spada do rzędu nic nieznaczących ludzi.

Oglądnowszy domki ubogich Chińczyków wsiadamy znów do samolotu i lecimy dalej.

Dzień to musi być świąteczny, bo mnóstwo ludzi młodych i starych, mnóstwo dzieci idzie polem, a każdy trzyma na uwięzi ogromnego, barwnego latawca. Znacie latawca, zwanego u nas także orłem, i wy lubicie go puszczać. Ale takich latawców, jakie my widzieliśmy lecąc nad Chinami, nie widzieliście nigdy, bo nikt na całym świecie nie umie robić takich latawców jak Chińczycy. Co za dziwne kształty! Jakie barwy! Tu leci olbrzymi smok pomalowany ciemnoczerwoną farbą, a z paszczy wyrzuca ognisty strumień, tam jakiś inny dziwoląg niby pękaty człowiek bez nóg, tam ptak, tam jaszczur olbrzymi, tam leci łódź — a puszcza ją je wszyscy i wszyscy się nimi cieszą.

Skończyły się pola i gaje, jest miasto. Miasto niewielkie, jeszcze do niego nie wcisnęły się zwyczaje europejskie ani amerykańskie, jeszcze niema w niem jak w stolicach, domów murowanych, wielopięrowych. Takie to sobie niewielkie miasto, które zachowało wszystkie domy i świątynie takimi, jak je Chińczycy budowali przed wiekami. Domki w niem niewielkie, dachy spiczaste z podniesionymi do góry końcami, na niektórych nawet sterczą jakieś figuynki. W oknach zamiast szyb szklanych papiery napuszczone tłuszcem, a czasem i malowane ozdobnie. Domki te są obwieszane do koła misternie kolorowymi, w dziwne wzory malowanymi lampionami, które lekko bujają potrącane wietrzykiem. Gdy wieczór w te lampiony wstawia świece, będzie śliczny widok, bo lampiony roz-

błysną, a na nich wystąpią smoki, ptaki, ludzie, rośliny. Takich lampionów niema w żadnym kraju, Chińczycy tylko umieją je wyrabiać tak misternie.

Przy każdym domku są śliczne, starannie pielęgnowane ogródki pełne kamelji, chreztantem, róż i innych pięknych kwiatów.

W całym mieście nie widać wozów, powozów, samochodów — ale oto dwóch ludzi niesie budkę opartą na dwóch drążkach. Stawiają budkę przed jednym z domów, rozchyła się ciężka jedwabna zasłona, z budki wyskakuje strojna Chinka, ubrana w jedwabie. Ma na sobie wzorzystą, długą suknię, coś w rodzaju płaszcza, przewiązaną jedwabnym pasem. Głowa bez kapelusza, uczesana starannie, włosy pospinane wielkimi, kosztownymi szpilkami, ręką opiera się o drążek, a na każdym palcu ma jakieś długie, błyszczące pudełeczko, coś jakby naparstek, ale długi na trzy centymetry. Pudełeczko to chroni paznogie, które bogate Chinki zapuszczają bardzo długie. Wyskoczywszy, prawie się zatacza, nie może prosto stanąć. Idzie do środka domu, ale nie idzie, tylko dziwnie podskakuje, wciąż się chwiejąc to w tę, to w przeciwną stronę. Dla czego tak skacze? czy to może kaleka? Wcale nie. To bogata chińska dama, żona wysokiego państwowego dygnitarza, których tu nazywają mandarynami. Gdy była małeńka, matka kazała jej uformować nogę, wedle chińskiego zwyczaju. Więc podginano jej paluszki do stopy, wiązano silnie, wtłaczano tak pozaginaną nóżkę w formę, aż wykoszlawiono ją zupełnie. Dziecko męczyło się strasznie, w dzień nie mogło biegać, w nocy spać nie mogło, jęczało z bólu, płakało i często w nocy wynoszono je w odległy kąt domu, bo jej płacz innych budził ze snu! I oto zrobiono z niej taką kalekę, która naturalnie chodzić nie może, tylko skacze, podciera się laską, albo ktoś ją prowadzi. Ale na szczęście ten barbarzyński zwyczaj coraz bardziej wychodzi z użycia. Dziś już wolą Chinki mieć większą nogę, niż tak się męczyć. Zwyczaj formowania nóg obowiązywał tylko bogate kobiety, które mogły być prowadzone i obsługiwane przez służbę. Nóg dziewczynek ubogich, pracujących, nikt nie

kępował. Ileż to magnatek musiało zazdrościć swym służebnym!

Lecimy dalej. Widzimy targ. Czego tam niema? I ryby i jakieś wężyki, jaszczurki, ślimaki, chrząszczyki, gąsienice, ptasie gniazda, jakieś rośliny kolczaste, i owoców wbród, ale najwięcej ryżu i surowego, i gotowanego, bo ryż jest głównym pożywieniem Chińczyków. Z ryżu robią rozmaite potrawy na najwykwintniejsze stoły, z ryżu robią mąkę, z niej placki, ciastka, jedzą go ze słodyczami,



z ostrymi sosami, robią z niego rum, wódkę, a ubodzy ludzie nim prawie wyłącznie się żywią. Gotują go raz na dzień, a gdy ostygnie, dolewają doń kipiącej wody i tak rozgrzany jedzą.

Na targu szczególnie naszą uwagę zwróciły tłuste, młode psiaki. Hodują je w Chinach tak jak u nas kurczęta, hodowlą tą zajmują się szczególnie dziewczynki i potem je sprzedają, bo psie mięso należy tam do ulubionych potraw.

Ale oto jeszcze coś ciekawego. Patrząc: idzie Chińczyk i niesie na ramieniu długi pręt obwieszony cały szczurami. Dowiedziawszy się później, że w Chinach istnieje zawód nieznany nigdzie indziej. Są tam ludzie, którzy trudnią się tępieniem szczurów, a taki pogromca szczurów, jako oznakę swego zawodu nosi na drążku pozabijane szczury.

Oglądając to wszystko z góry, znowu wyładowaliśmy, bo nie dość nam było oglądać chińskie miasto z góry, chcieliśmy zajrzeć do wnętrza domów, do świątyń.

Mieliśmy polecenie do mieszkającego w tym mieście pana Popowa, jednego z najbardziej znanych kupców rosyjskich, który prowadzi wielki handel herbatą pomiędzy Chinami a Europą. On uprosił mandaryna Tao-Taï-Lu, do którego zarząd miasta należy, ażeby nam pozwolił oglądać swój dom i pokazać rzeczy godne widzenia w mieście.

Mandaryn zgodził się chętnie i przysłał nam za pośrednictwem pana Popowa zaproszenie.

Ucieszyliśmy się bardzo i tem, że poznamy bliżej prawdziwych Chińczyków, a także tem, że za pośrednictwem pana Popowa, który mówił po francusku, a my trochę po rosyjsku, będziemy mogli porozumieć się z nimi.

Prosiłiśmy więc pana Popowa, aby nam dał wskazówki, jak mamy się zachować.

— Nasamprzód — powiedział pan Popow — zaproszeni muszą przed wejściem do domu zapraszającego wysłać wedle zwyczaju kartę wizytową.

— Oto nasze wizytówki.

— O! nie takie — zaśmiał się pan Popow i podał nam przygotowany już wprzód duży jak wielki afisz kawał ślicznego chińskiego papieru, na którym wśród misternych ozdób wymalowane były nasze nazwiska i powiedział:

— Z tą rozwiniętą kartą służący hotelu przejdzie przez miasto i odda ją mandarynowi. Po chwili pójdziecie państwo i ja z wami, a gdy mandaryn wyjdzie kłaniając się nisko i zacznie prawić wam najnieprawdopodobniejsze pochwały, macie odpowiedzieć takimi samymi komplementami.

— Ależ nie umiemy mówić po chińsku.

— Możecie mówić po francusku, mandaryn Tao-Taï-Lu

był w Paryżu lat parę i zna ten język, zresztą i ja cośkolwiek pomogę.

Nazajutrz w południe karta została wysłana, my ubrani w najlepsze nasze suknie ruszyliśmy z panem Popowym w lektykach, bo tak wskazuje zwyczaj.

Pan domu ubrany w długi jedwabny kaftan koloru żółtego, haftowany bogato, w czapce na głowie wita nas w progu domu. Czapka ozdobiona niebieskim guzikiem, który oznacza stopień jego godności.

— Niech wasze dostojności, godne najwyższej czci raczą przestąpić progi mojej nędznej budy, która nie godna jest gościć tak wysoko położonych osób — przemówił witając nas gospodarz.

— Dom waszej ekscelencji jest prześlicznym pałacem, jakiego nigdy nie widzieliśmy. Pamięć o nim zachowamy całe życie — należało odpowiedzieć.

Dzień był gorący. Papierowe okienice nie przepuszczają promieni słońca, w domu panował miły chłód.

Środek domu zajmuje rodzaj eleganckiej sieni. ciągnącej się wzdłuż. Sień ta obwieszona jest z jednej i drugiej strony jedwabnymi oponami, malowanymi w rozmaite chińskie wzory: smoki, bociany, żórawie, kwiaty. Za tymi oponami z jednej i drugiej strony są pokoje mieszkalne i gościnne, na samym końcu dopiero pokoje pani domu, która w Chinach podrzędne bardzo zajmuje stanowisko i nie jada nietylko z gośćmi, ale nawet z mężem.

— Co za wspaniałe opony, jakie hafty — mówimy z zachwytem.

— Obrzydliwe te szmaty, należało wyrzucić, zanim tak dostojne osoby raczyły wejść w moje progi — odpowiada gospodarz — choć widocznie dumny jest z urzędnictwa swego domu.

Przechodzimy przez środek sieni, opony wskazują, któredy wchodzi się do oddzielnych pokoi. Przed jednym z nich gospodarz pochyła się nisko z czią głęboką.

— To domowa świątynia, którą tu nazywają dżoss — objaśnia pan Popow.

Gospodarz, odchylając zasłonę wiszącą u wejścia dżossu, pochylił się jeszcze niżej, a my szanując zwyczaj

pochyliliśmy się także. Na ścianach świątynki wypisane są nazwiska dawno zmarłych pradziadów, dziadów i rodziców; przed niemi pozapalane światła, na ścianach wypisane są też mądre zdania mędrców, a przede wszystkim Konfucjusza, twórcy religii i praw chińskich.

Chińczycy czczą pamięć przodków, jakby świętości, a pragnąc, żeby ich dzieci i ich pamięć tak czciły, przyuczają je do tego od wczesnej młodości. Żadna obelga nie boli tak Chińczyka, jak gdy mu kto powie: ludzie litują się nad twoimi przodkami. Jeżeli kto zapyta dzieci, dlaczego się uczą, usłyszy zawsze jedną odpowiedź: dlatego, aby zdobywszy stanowisko mogli otoczyć dostatkiem swych rodziców.

Gospodarz prowadzi nas dalej i znowu uchyla opony. Widzimy inny pokój obstawiony parawanami i parawanikami, ściany oklejone malowanym papierem, tu i ówdzie stoją misternie rzeźbione etażerki, kilka foteli o niskich siedzeniach, a wysokich oparciach. W wielkich z przepysznej porcelany chińskiej wyrobionych wazonach stojących na podłodze, śliczne kwiaty. To pokój gościnny.

Opona się opuszcza, gospodarz prowadzi nas do ostatniego w tej stronie pokoju. Tu na niskim fotelu siedzi bardzo otyła Chinka, okaleczone nogi opiera o podnóżek, w rękę trzyma kłębek jedwabiu, którym haftuje makatę. Obok niej na niskiem krzeselku młoda dziewczyna bogato ubrana haftuje także.

Wiemy już, że na znak szacunku należy odwrócić się od pani domu, więc odwracamy się tyłem, zasłona spada.

— Czy ta piękna, szlachetna dama jest małżonką waszej ekscelencji? — pytamy.

— Tak — odpowiada mandaryn — ta stara miotła siedząca w kącie mego domu, to moja żona, niegodna, żeby wasze oczy jasne jak gwiazdy spoczęły na niej, a ta poczwara o ogromnych nogach i małych uszach, to moja córka, która za parę dni unieszczęśliwi syna mojego przyjaciela, zostanie bowiem jego żoną.

Pan Popow szepnął nam, że otyłość i wielkie uszy są uważane u Chińczyków za piękność.

— Śmiemy zaprzeczyć waszej dostojskości — odpo-

wiadamy — bo widzieliśmy, że obie damy mają maleńkie nóżki, są otyłe, uszy ich są duże, usta jak róża. A czy nieba obdarzyły waszą ekscelencję także innymi dziećmi wielkiego i szlacheckiego rodu?

— O mam, mam jeszcze kilkoro szkarad, na które



trudno spojrzeć bez obrzydzenia. Najstarszy syn zdaje teraz egzamin w Kantonie, a tu są młodszy.

I znowu odskonił inną oponę. Tu siedziały dwie dziewczynki i bawiły się lalkami, a dwaj chłopcy mieli grube nitki rozpięte na palcach i bawili się w kołyskę (i naszą dzieci tem się bawią), — obok leżały latawce, piłki, słomki

do puszczenia baniek. Dzieci ani spojrzały na nas, dobre wychowanie tak nakazywało.

— A oto mój syn średni — rzekł gospodarz, wprowadzając nas jeszcze do innego przedziału, gdzie na środku pokoiku stał mały lakowy stoliczek. Z jednej strony stolika siedział na stołku nauczyciel w kaftanie, w czapce na głowie, z długim, spadającym na plecy warkoczem z wachlarzem w ręku. Z drugiej strony stolika na stołku klęczał chłopak może ośmioletni. Ani nauczyciel, ani chłopak nie spojrzeli na nas, chłopak coś pisał, a raczej malował cienutkim pendzelkiem, maczanym w tuszu, który stał obok w małym kałamarzu.

Mandaryn zapytał:

— Czy robak skończy niebawem lekcję?

— Powiedziałeś panie — odparł nauczyciel.

— Czego się dziś uczył?

— Pisał znaki nazywające słońce i ciała niebieskie, uczył się na pamięć mądrych zdań mędrców i opowiadałem mu legendę o bambusie, ażeby wiedział, co z tej przez wielkiego Buddę danej rośliny można wyrobić. A teraz pójdzie do ogrodu popatrzeć przez sztachety, jak się bawią dzieci nędznych ludzi.

Pan Popow przetłumaczył nam słowa nauczyciela i wraz z mandarynem Tao-Taï-Lu wyjaśnili nam jakie pismo mają Chińczycy.

Dowiedzieliśmy się więc, że nauka czytania u Chińczyków jest wielką sztuką i wymaga żmudnej, długoletniej pracy, bo alfabet ich nie składa się jak u Europejczyków z dwudziestu kilku liter, które składa się w słowa, ale przeszło z dwudziestu tysięcy znaków, z których każdy oznacza inne słowo, albo pojęcie, a nawet całe zdanie. Najmniejsza zmiana w położeniu kreski, oznacza zupełnie co innego. Kto umie pisać, a raczej malować pendzelkiem, umoczonym w tuszu lub farbie, kilka tysięcy znaków, może czytać gazety i łatwe książki. Uczony musi umieć pisać wszystkie znaki. Pismo chińskie zaczyna się od końca, a wiersze układa się w kierunku pionowym.

Powiedział nam też pan Popow, że chłopak w szkole dostaje inne imię jak w domu. Chodzący do szkoły chłopiec

przestaje bawić się z siostrami, jako z istotami niższego rzędu, przechodzi pod opiekę mężczyzny i mało kiedy przybiega do matki, z którą się już nie pieści.

Gdy oglądnęliśmy dom, mandaryn Tao-Tai-Lu, zaprowadził nas do ślicznego ogródka, otaczającego ów bambusowy domek. Pełno w nim było przepysznych kwiatów, ślicznych, malutkich altanek, mostków, lampionów, błyszczących kul.

Za sztachetami na polu bawiły się dzieci ubogich ludzi, ubrane tylko w kaftany sięgające do kolan, puszczały latawce, śmieli się, przewracali w piasku, a w kątku ogrodu stał mały Si-Hu syn mandaryna, którego poznaliśmy przed chwilą, wpatrzony w bawiące się dzieci. Z wyrazu jego twarzy było widać, że radby pobiec do nich i uganiać razem z nimi — ale synom mandarynów nie uchodzi bawić się z dziećmi ubogich ludzi, chłopak ośmioletni musi już pamiętać o dostojęństwie ojca, o tem, że musi się uczyć i uczyć, aby i on zdał egzamin na mandaryna i dostąpił tej godności.

Gdy siedzieliśmy na ławeczce w ogrodzie, pan Popow i mandaryn Tao-Tai-Lu opowiedzieli nam, jak w Chinach zdaje egzaminy starsza młodzież, a nawet ludzie bardzo dojrzały.

Egzaminy te odbywają się w wielkim chińskim mieście Kantonie, gdzie w ogrodzie cesarskim znajduje się dziesięć tysięcy oddzielnych celek, niby osobnych domków, w których zamykają tych, którzy chcą dostąpić godności mandarynów. Kto zda pierwszy egzamin uzyskuje prawo noszenia białej gałki na czapce, kto zda drugi, otrzymuje niebieską gałkę, ci co zdadzą najtrudniejszy, ostatni już egzamin otrzymują czerwoną gałkę.

Egzaminy najtrudniejsze odbywają się co parę lat, zgłasza się zwykle kilka tysięcy kandydatów, a zdaje ledwie kilkaset. Egzamin taki odbywa się pod strażą wojska i najwyższych mandarynów. Zdających zamykają każdego w osobnej celce, a na drzwiach nakładają jeszcze cesarskie pieczęcie. Zdający jest zamknięty przez trzy doby wraz z żywnością na ten czas potrzebną.

Kto zda najwyższy, egzamin, ten dostępuje najwyższych

zaszczytów. Nazwisko jego jest wywieszone przez czas jakiś na wszystkich świątyniach, opublikowane we wszystkich gazetach, on i rodzina jego otrzymują powinszowania od najwyższych dygnitarzy i uzyskuje wysoką godność państwową.

Podczas gdy słuchaliśmy tego opowiadania, do ogrodu weszło kilku mandarynów o białych i niebieskich gałkach. Gospodarz zapoznał nas z przybyłymi, witaliśmy się niskimi ukłonami i przesadnymi grzecznościami.

W końcu zaproszono nas do jadalni na obiad. Pan Popow przestrzegł nas, że podadzą nam rozmaite potrawy, które może nawet wstręt w nas wzbudzą, ale, że nie powinniśmy tego okazać, a przeciwnie wszystko chwalić.

— Wprowadzono nas do głównej sali domu, sala ta podzielona była na dwie części, część umieszczona w głębi miała podłogę podniesioną o parę stopni wyżej i zaścienioną matami, a dalej była jeszcze niższa, w której znajdowały się posążki bożków.

W sali były już stoliki przygotowane do obiadu, stoliki niewielkie, zgrabniutkie, jedne niziutkie, inne bardzo wysokie, przy niższych były tylko maty, przy wysokich stały delikatne krzeselka. Nakrycie składało się z ślicznych, porcelanowych, maluchnych talerzyków, miseczek i filiżaneczek nie wiele większych niż naparstki, a cieniuchnych jak papierki. Naczynia te przypomniały mi zabawki dla lalek i dziecinny balik.

Usiedliśmy do stolików, moim sąsiadem był pan Popow, a oprócz tego siedzieli z nami dwaj Chińczycy.

Przy talerzykach, gdzie siedzieli Chińczycy, leżały bardzo zgrabne pałeczki, dla nas położono śliczne, maleńkie widelczyki, nożyki i łyżeczki. Przy każdym nakryciu leżały dwie kartki, na jednej napisane było nazwisko osoby, która miała zająć miejsce, na drugiej był spis potraw, które miano podawać.

Gdy pan Popow wyjaśnił mi znaczenie kartek, zdumiałam się ilością wymienionych potraw, bo było ich przeszło trzydzieści.

— Jako? — zapytałam — czyż Chińczycy są takimi żarłokami, że potrafią zjeść tyle potraw?

— Gdy pani zobaczy, te potrawy i rozmiary podawanych kawałków, zrozumie pani, że, można podawać i nabierać je bez końca, a mimo to, nie przesyścić się niemi.

Zaczęto podawać potrawy. Służba obnosiła w porcelanowych dzbanuszkach jakiś ciemny płyn i nalewała go w filiżaneczki stojące przy nas.

— Co to takiego? — zapytałam.

— Ostry płyn octowy w którym Chińczycy maczają wszystkie potrawy.

— Ależ to musi być niedobre.

— Będiesz go pani wkrótce błogosławić — mówił pan Popów. — Gdy przyjdzie pani połknąć smażoną gąsienicę, albo pieczonego ślimaka, albo kawałek pletwy żarłacza, wtedy będziesz zachwycona tym sosem.

— Co? smażone gąsienice? zapytałam przerażona. — Ależ ja tego nie przełknę.

— Dobrze wychowana osoba stosuje się do zwyczajów kraju — rzekł uśmiechając się pan Popów.

Zaczęto podawać potrawy; nasamprzód szedł szereg dań zimnych: jakieś mchy, porosty, wcale nieponętne osty czarne, koleczaste. Potem jaja gotowane na twardo, powykrawywane w jakieś gwiazdki, kostki, kóleczka, płatki, czarne grzybki.

Chińczycy chwyтали drobiny tych specjałów pałeczkami, maczali w occie i zrecznie wkładali w usta. Ja męczyłam się, przełykając je.

Potem zaczęły się dania gorące, jakieś siekaninki i potrawy z ślimaków, raków, kogucich główek, gąsienic. Jeszcze teraz, na samo wspomnienie tych potraw, dostaje mdłości.

Możecie sobie wyobrazić, co mi się działo, gdy musiałam włożyć w usta ową smażoną gąsienicę. Umaczałam ją w sosie octowym, przełknęłam z wysiłkiem i znowu wlałam w usta łyżeczkę octu.

Na zakończenie dań, wniesiono jakąś potrawę, na której widok Chińczycy zaczęli głośno mlaskać językami, co należy u nich do dobrego tonu i wyraża pochwałę dla potrawy. Spojrzałam przestraszona na półmisek i ujrzałam czarne kawałeczki, przypominające zeschnięte trzaski.

— Co to takiego? — zapytałam.

— Jestto najwykwintniejsza u Chińczyków potrawa, mianowicie smażone pletwy rekina. Potrawa to ogromnie kosztowna, bo połów rekinów jest bardzo niebezpieczny.

Spojrzałam z niechęcią na ten nowy przysmak. Chińczycy chwalili głośno gościnność gospodarza.

— Niegodni jesteście takiej biesiady — mówili.

— Nigdy zacniejsze usta nie dotykały nędzniejszych potraw. Nigdy, żaden gospodarz nie miał zaszczytu gośzczenia tak szlachetnych gości — odpowiedział gospodarz.

— Do siebie słów nie bierzemy tych, wiemy, że owymi gośćmi są Europejczycy — powiedział jeden Chińczyk.

I znowu sypały się komplementa. Tymczasem przyniesiono nową potrawę, która znów wywołała podziw uczujących.

— Ach! — zaśmiał się pan Popow — jestto potrawa, która w Europie istnieje tylko w przysłowiu, a mianowicie: „pieczony lód“.

— Coo? — zapytałam — Pan chyba żartuje — i spojrzałam na półmisek, na którym leżały jakieś knedelki.

— Mówię zupełnie poważnie — rzekł pan Popow.

— Jeżeli o pieczonym lodzie można poważnie mówić — odpowiedziałam. W tej chwili podszedł służący z półmiskiem. Wzięłam więc jeden knedelek i włożyłam go do ust; smaku nie czułam, gdyż knedelek ów był tak gorący, iż poparzyłam sobie usta, a gdy rozgryzłam go, uczułam dotkliwy ból zębów, spowodowany nagłym zimnem.

Wszyscy podziwiali głośno umiejętność kucharza, a uszczęśliwiony tym niekłamany podziwem gospodarz, rzekł:

— Nędzna to potrawa, nie warta, aby wasze dostojności raczyły zwracać na nią uwagę.

— Czy nie wiadomo waszej dostojności, jak znakomity jego kucharz sporządza ten przysmak?

— Robi ciasto z jaj, cukru, migdałów i innych korzeni, trzyma je w lodzie, aby było zupełnie zimne, potem wkłada w nie i zawija kawałeczek lodu, a następnie rzuca na okamgnienie w kipiący tłuszcz, poczem wyjmuje szybko

i w tejże samej minucie podaje na stół. Udanie się tej potrawy polega na szybkości i zręczności kucharza.

Teraz podano zupę, bo chiński obiad kończy się zupą.

— Zupa ta — rzekł mój sąsiad — to także sławna chińska potrawa, jestto zupa z gniazd salangany.

Słyszałam już o salanganach, ucząc się zoologii i wiedziałam, że są to jaskółki, gnieźdzące się nad chińskim morzem i że lepia gniazdzka z pewnego rodzaju mchu, który skleja ją własną, lepłą śliną.

Sąsiad mój mówił tymczasem:

— Zbieranie tych gniazd jest także bardzo mozolne, a nawet niebezpieczne, bo salangany gnieźdzą się na skałach, nad przepaściami.

— Czyż to warto — rzekłam — dla zjedzenia jakiegoś przysmaku, narażać życie ludzkie? Doprawdy, że ci Chińczycy są niemądrzy.

— Niech pani tak nie mówi. Widzę na jej szyji sznurek pereł, a połów ich jest równie niebezpieczny, jak polowanie na rekina.

— Prawda — szepnęłam.

Po zupach sprzątnięto talerze, a ja odetchnęłam swobodnie, bo byłam pewna, że już nie będę musiała przełykać ani pieczonego lodu, ani smażonych gąsienic. Teraz podano przepyszniejszą herbatę, o jakiej my Europejczycy nie mamy wyobrażenia, przepyszne cukry i owoce. Owoce były tak dobre, że i mnie brała chęćka mlaskania językiem, na wzór Chińczyków.

Zanim wstaliśmy od stołu, wniesiono misę ryżu, którego nikt nie tknął.

— Niech pani przypadkiem nie nabierze ryżu, — rzekł mój sąsiad.

— Dlaczego?

— Bo ktoby zjadł chociaż jedno ziarno tego dania, obraziłby gospodarza.

— Dlaczego?

— Bo podanie tej potrawy znaczy tyle, co: „Podaliśmy wam wszystko, co miałem i mogłem najlepszego, a jeżeli wam nie smakowało, albo jeżeli tego było za mało, to mogę wam już tylko dać najpospolitszą potrawę, którą żywią się nędzarze“.

— A która jest lepszą, aniżeli wszystko, co nam podawano, z wyjątkiem herbaty, owoców i cukrów! — dokończyłam.

Jakże szczęśliwa czułam się, gdy wstaliśmy od stołu, przy którym siedzieliśmy przeszło dwie godziny. Jeszcze mieliśmy być obecni na przedstawieniu teatralnem, bez którego Chińczycy nie mogą sobie wyobrazić większego przyjęcia.

Wstaliśmy tedy od stołu, dziękując, jak umieliśmy najprzesadniej, za tak wspaniałą ucztę, jakiej nie tylko nie jedliśmy nigdy, ale o jakiej nawet nie mieliśmy wyobrażenia. I to określenie nie było wcale przesadą.

Po obiedzie poprowadził nas gospodarz znowu do ogrodu.

Przechodząc przez ogród, ujrzeliśmy szopę, obwiezoną całą lampionami, ozdobioną pstremi malowidłami.

— To mój teatr domowy — rzekł skromnie gospodarz.

— Wspaniały przybytek sztuki.

— Nikczemni aktorzy, zaczną wkrótce odgrywać li-che komedje — odparł gubernator z pogardą tym razem nie przesadzoną i nie sztuczną.

— Dlaczego gubernator z takim lekceważeniem wyraża się o aktorach i teatrze? — zapytałam pana Popowa.

— Rzecz dziwna — odparł zapytany. — Chińczycy nie umieją urządzić przyjęcia bez przedstawienia teatralnego, lubią teatr namiętnie, a mimo to gardzą aktorami i autorami dramatycznymi. I aktorowie i autorowie należą u nich do najniższej sfery społecznej.

Zajęliśmy miejsca w szopie.

Zaczął się przedstawienie. Naturalnie, że nic nie rozumiałam, gdyż grano w języku chińskim. Ale uprzejmy pan Popow tłumaczył mi treść dramatu.

Bohaterem był młody literat, to znaczy młodzieniec, należący do najniższej warstwy społecznej, młodzieniec ten pragnął poślubić córkę mandaryna, ale dumny mandaryn nie chciał dać córki literatowi. Intrygi i protekcje zajmować miały całą sztukę, podobność bardzo lichą, co zresztą było dla mnie obojętne, ze względu, że nic nie rozumiałam.

Podczas przedstawienia roznoszono herbatę i wyborne cukry. Cukierki i owoce ułatwiły mi trzygodzinne siedzenie w teatrze i trochę łagodziły nudy.

Nareszcie skończyło się.



Odetchnął swobodnie, goście dziękowali gospodarzowi, przesadzając się w komplementach, on zwyczajem chińskim ganił i przepraszał.

Podziękowawszy raz jeszcze mandarynowi, za tak

wspaniałe przyjęcie poprosiliśmy jeszcze, żebyśmy mogli oglądać świątynię chińską.

— Tak uroczej gwiazdzie europejskiej, co zabłysnęła jasnym światłem w nędznym domu moim, niczego nie mogę odmówić — odpowiedział mandaryn.

Nazajutrz rano przysłał po nas lektyki, i razem z panem Popowem ruszyliśmy na zwiedzenie świątyni.

Świątynia obwiedziona była murem.

Przeszliśmy ozdobną bramę i weszliśmy na ogromne podwórze, przedzielone na trzy części galerjami wyrobionemi z drzewa, misternie rzeźbionemi i malowanemi w różne jaskrawe wzory. W pierwszym dziedzińcu stały trzy altanki, z dachami powyginanymi w górę, ozdobionymi rozmaitymi posążkami smoków i innych zwierząt.

W środkowej altance mieścił się młyn, coś w rodzaju wielkiego pudła, przytwierdzonego ruchomo do ziemi i dachu, z pudła tego rozchodziły się na boki drążki tak, jak u nas po wsiach w kołowrotach izamykających przejście; przy każdym z tych drążków siedł człowiek, odmawiający pacierze. W ten sposób poruszali na kołowrocie utwierdzony młyn; ludzie ci w rękę trzymali pałki, któremi uderzali o wiszące w pobliżu młyna dzwony; dzwony dzwoniły, ludzie odmawiali pacierze.

Na trzecim dziedzińcu mieści się właściwa świątynia. Drzwi do niej wiodące są prześlicznie rzeźbione. Pan Popow zwrócił naszą uwagę na nadzwyczaj misterną, delikatną robotę tych drzwi; wyrzynanie, inkrustowanie, malowanie ich ma być bardzo trudne i wymaga ogromnej cierpliwości i drobiazgowości, którą słyną Chińczycy.

W środku świątyni stał posąg głównego bożka. Posąg to olbrzymich rozmiarów, z rysami potwornymi, ogromne jego oczy zdają się patrzeć z wyrazem groźnym i okrutnym. Wokoło dwanaście posągów mniejszych schylają się przed nim w postawie pokornej i modlącej. Mnóstwo rozmaitych ozdób zapełnia świątynię: ogromne świeczniki z kutego żelaza, szable, włócznie złożone, wielkie woskowe świece i różnokolorowe latarnie.

Dalej, po lewej stronie mieścił się drugi bożek w sukni

szkarłatnej, bożek ten miał troje oczu, objaśniono nas, że jest to bożek, odgadujący najskrytsze myśli, przed nim nie pali się żadna świeca, gdyż i bez światła wszystko widzi.

— Jakąż to właściwie religję wyznają Chińczycy — zapytałam ojca.

Religia, którą wyznają chińczycy nazywa się buddyzm, a nazwa ta pochodzi od imienia jej twórcy mędrca Buddy, który żył w Indjach w piątym wieku przed Chrystusem. Wedle ich pojęć świat cały jest zapełniony dobrymi i złymi duchami, niektórym z nich nadano miano bożków. Dobrych duchów proszą buddyści o opiekę, oddają im cześć i składają ofiary, ze złymi walczą kapłani, zwani bonzami. Wierzą też buddyści, że dusze umarłych wchodzi w ciała żywych ludzi a nawet zwierząt, dla tego nie zabijają ich i nie jedzą mięsa zwierząt. Sam Budda wciela się także od czasu do czasu w żyjącego mędrca i dalej poucza ludzi. Nauka jego głosi miłość bliźnich, każe spełniać dobre uczynki. Ale z czasem u niektórych ludów religia ta zatraciła swój pierwotny charakter i jak pani widziała w chińskiej świątyni, przeszła w gruby poganizm.

Był to ostatni dzień naszego pobytu w Chinach. Brat i jego pomocnik przygotowali nasz powietrzny pojazd. Wsiadliśmy do samolotu i jeszcze raz z góry rzuciliśmy okiem na olbrzymi obszar ziemi zasadzony herbata, morwą, bambusem, zasiany ryżem na którym krzątało się pracowicie niezliczone mrowie ludzi — poleciliśmy dalej.

W RAJU DZIECI

I znowu siadamy w samolot i lecimy dalej zobaczyć co dzieje się w innym kraju.

Lecimy do Japonji. Dla nas to kraj najciekawszy, choćby dla tego, że w nim dzieciom jest tak dobrze, jak w żadnym innym, tak dobrze, że uzyskał nazwę „Raju dzieci“.

Do naszego samolotu wsiadł w Chinach pewien uczony pan, który pisze książkę o Japonji, więc wie o niej bardzo dużo i rozumie nawet mowę japońską, a jest taki dobry, tak chętnie odpowiada na nasze pytania, że pewnie dowiem się od niego wiele ciekawych rzeczy. Pan ten jest Polakiem, nazywa się Rozmoski.

— O już widać Japonję! — zawołał pilot.

Więc patrzymy z samolotu i widzimy cały szereg wysp i wysepek rozrzuconych w oceanie.

— O! jak tu dużo wysp — zawołałam — i wielkie i małe i maleńkie.

— Tak — rzekł pan Rozmoski — jest ich około trzech tysięcy.

— A ja uczyłam się o czterech i pamiętam, że nazywają się Jezo, Nipon, Kiu-Siu i Sikok.

— Te są największe, ale do nich trzeba jeszcze doliczyć Formozę, która należy do grupy wysp japońskich, a którą Japończycy niedawno odebrali państwu Niebieskiemu.

— A czy Japończycy są podobni do Chińczyków?

— Po części tak. I oni należą do tej samej, do żółtej rasy i przyjęli od Chińczyków religję i pismo, ale język ich jest odmienny i usposobienie także. Są nadzwyczaj uprzejmi, mili, weseli i niezakrzepli w swojej cywilizacji, tak jak Chińczycy, lecz przeciwnie, przyswajają sobie wszy-



stkie wynalazki zachodu i młodzież swoją posyłają często na naukę do Anglii, Francji, Ameryki.

— Więc nie oddzielili się od reszty świata murem, jak Chińczycy?

— Oni niepotrzebowali muru, ich strzegło morze. I długo żyli sobie spokojnie w swym ślicznym kraju, nie zawiązując z nikim stosunków, z wyjątkiem sąsiednich Chin. Aż w wieku XVIII. Rosja zagrabiła im północną część Sachalinu, najwyżej na północ wysuniętej wyspy. A potem chciwi zysku Amerykanie wysłali niedawno bo w 1854 roku cztery wojenne okręty do Japonji i zmusili rząd tamtejszy do otwarcia japońskich portów dla okrętów amerykańskich. Osadzili w Japonji swego konsula, który miał nawiązać stosunki handlowe między Stanami Zjednoczonymi a Japonją i czuwać nad bezpieczeństwem obywateli amerykańskich zamieszkałych w Japonji. W parę lat później Anglja, Francja i Rosja zrobiły to samo, przysłały swoje wojenne okręty i zagroziły wojną, jeżeli im Japonja nie dozwoli wstępu do swego kraju i zabroni prawa handlu. Od tego czasu Rosja posuwała się coraz dalej, zabrała im półwysep Koreę i kto wie, co by się stało z tym niewielkim krajem. Ale mądrzy Japończycy wysłali swą młodzież na zachód, tam oficerowie japońscy nauczyli się europejskiej sztuki wojowania, pokonali Rosję i zapewnili swemu państwu wolność.

Gdy pan Rozmoski to mówił, pokazywał nam na mapie Japonję i Sachalin i półwysep Koreę. I wy weźcie mapę do rąk i popatrzcie na ten kraj.

Wysłuchawszy opowiadania pana Rozmoskiego spojrzałam w dół. Samolot zniżył się o tyle, że można było widzieć rozciągające się pod nim wyspy, i tak przed naszymi oczami przesunął się duży jego kawał.

Ujrzałam śliczny krajobraz. Morze jasne, szafirowe, jakby igrając z wybrzeżem, wciska się między wyspy i wysepki. Fale uderzają lekko o wzgórza okryte gajami i lasami. Z pomiędzy drzew tu i ówdzie strzelają w górę małe wulkany i niewielkie świątynki, których jest mnóstwo w Japonji do których ciągle podróżują pobożni pątnicy. A niżej, pomiędzy wzgórzami rozrzucone śliczne, czy-



ściutkie wioski zabudowane drewnianymi, jakby dla dzieci zbudowanymi drobniutkimi domkami.

Miedzy gęsto rozsianymi wysepkami krążą drobne łodzie z białymi żaglami wznoszącymi się w górę. Te białe żagle i łodzie robiły wrażenie pływających ptaków.

Stałam wpatrzona w te śliczności. Samolot posuwał się zwolna a przed nami rozwijały się coraz to nowe widoki, aż zalecieliśmy nad jakieś miasto, pełne małych domków, ogródków, świątyn.

To Kioto.

Patrzemy, na ulicach miasta tłumne zebranie. Samolot spuszczał się coraz niżej, mogliśmy teraz widzieć wszystko dokładnie.

Mnóstwo ludzi ubranych odświętnie przechodziło ulicami, ale co nas najbardziej dziwiło, to wielka ilość dzieci, ubranych w długie sukienki, przepasane szarfami uwiązanymi z tyłu w ogromne kokardy kształtu olbrzymich motyli. Sukienki z kosztownego jedwabiu, albo też z taniej bawełnianki, ale wszystkie czyste, barwne. Dzieci miały na nogach albo pięknie haftowane trzewiczki, albo też obuwie ze słomy lub nawet z drzewa, ale największa ich część przywiązana do podstawek wysokich na parę centymetrów, ażeby trzewiczki nie powalały się prochem. Główki dzieci starannie uczesane, włosy pospinane błyszczącymi szpilkami.

Patrzę, każde dziecko popycha przed sobą wózek z jedną, a nawet kilkoma lalkami. I lalki ubrane strojnie w nowe sukienki. Niektóre z tych lalek sprowadzone aż z Europy, inne krajowej a nawet domowej roboty; dziewczynki ubogie miały lalki zrobione z gałganków, ale to im nie psuło radości. Wszystkie dziewczynki mają buzie roześmiane, oczki rozpromienione, przechodzą ulicami obok matek lub ojców. Wszyscy uśmiechają się do siebie, witają się ze znajomymi, rozmawiają, kupują słodczyce, zagryzają je, to przystają przed teatrzykami lalek, których pełno rozstawiono na ulicach.

— Cóż to za dziwne zebranie? pytam pana Rozmowskiego.

— A to pewno „Święto Lalek“ — odpowiada uśmiechnięty.

— Co? „święto lalek“? A cóż to takiego?

— Jest u Japończyków jeden dzień w roku nazwany świętem lalek. W dniu tym wszystkie dziewczynki w całej Japonji dostają nowe lalki na jakie stać ich rodziców. Przekupnie w dniu tym rozkładają na ulicach kramiki z przysmakami i ustawiają mnóstwo teatrzyków, w których odbywają się przedstawienia marionetek t. j. lalek przesuwanych na patyczkach, tak jak w polskich szopkach.

— Zejdźmy, zejdźmy! — zawołałam, zobaczymy to dziwo.

— Zgoda. Jest poranek, zabawa dopiero się zaczyna. Zobaczymy jeszcze wszystko.

Lotnik posterował nieco dalej, gdzie nie było tłumu, a gdy samolot osiadł na ziemi, obskoczyła nas gromadka ludzi z riksami czyli dwukołowymi wózkami z zapytaniem, dokąd chcemy się udać. A wszyscy uprzejmi, uśmiechnięci, grzeczni.

Pan Rozmoski porozumiał się z nimi, usiedliśmy do riksza po dwie osoby i zawieziono nas do hotelu, w którym była szopa na samoloty.

Zabawna to była jazda, gdy człowiek biegnący szybko wiózł nas przez ulice.

W hotelu wzięliśmy kąpiel, napiliśmy się herbaty, do której nam podano ryż i w cukrze smażone owoce i co prędzej ruszyliśmy na miasto. Tu zmieszaliśmy się z tłumem, a tłum ten był dziwnie uprzejmy i grzeczny. Każdy ustępował miejsca drugiemu, przeproszał, jeżeli mimowoli potracił, a już najbardziej wszyscy troszczyli się o dzieci. Jeżeli które potknęło się lub upadło, natychmiast spieszono mu na pomoc, podnoszono je, przemawiano do niego, obdarzano łakociami, usuwano się przed niemi, ustępowano im miejsca, obcy nawet podnosili te, które stały dalej, aby mogły zobaczyć lepiej co dzieje się w teatrzyku. Wszyscy promieniali radością. W niektórych miejscach siedzieli przekupnie obok małych piecyków, w piecykach tych palił się ogień, przekupnie mieli w naczyniach wyrobione słodkie ciasto, dzieci kupowały je kawałkami, same wkładały

w piecyki, a po kilku minutach wyjmowały upieczone już ciastka i zjadały je uradowane.

Zrobiłam uwagę, że widocznie dziewczynki są uprzywilejowane w Japonji, skoro mają własne święto.

— O nie — odpowiedział pan Rozmoski — wszystkie dzieci są uprzywilejowane w Japonji. Dziś jest święto dziewczynek, a niezadługo chłopcy będą obchodzić „Święto sztandarów i broni“, a potem młodzież „Święto „latawców“. Podczas święta broni i sztandarów wyruszają na ulice chłopcy uzbrojeni drewnianą bronią z sztandarami w rękę i biją się zawzięcie, gdy broń połamiał walczą kulakami. Starsi i dziewczęta stają w koło i zachęcają walczących, a tych, którzy zwyciężą, obnoszą w triumfie z sztandarem wzniesionym w górę. Małe chłopaki otrzymują w tym dniu pudełka ołowianych żołnierzy, którym każą staczać bitwy — a starsi opowiadają im w tym dniu podania i powieści o sławnych wojownikach i bohaterach japońskich.

Oprócz tego młodzież męska obchodzi święto latawców. Na dzień ten chłopcy i młodzieńcy przygotowują możliwie najpiękniejsze latawce i idą z nimi w pole, gdzie staczają walki. Nitki, do których uwiązują latawce naciecierają wprzód miażdżącym potłuczonym szkłem, rozpuszczonym w kleju, gdy klej wyschnie a szkło przywrze do nitki, nitka twardnieje i staje się ostra. Walka latawców polega na tem, że dwaj zapasnicy, puszczając latawce starają się swoją nitką przeciąć nitkę przeciwnika. Ten, komu uda się strącić latawca współzawodnika dostaje go w nagrodę. Starsi biorą żywy udział w tej zabawie, zakładają się, które latawce i którzy zapasnicy zwyciężą.

— To święta młodzieży, ale pewno i ogół japoński musi obchodzić jakieś święta? — zapytałam.

— Naturalnie. Największem, najuroczystszym ze świąt japońskich jest „święto Nowego Roku“.

— Jakże je obchodzą? zapytałam.

— Już w wigilję dnia tego, widać gorączkowe przygotowania na ulicach. Domy przystrojają w lampy, wieńce, wstęgi, chorągiewki. Wieczorem zamykają wszystkie sklepy, po ulicach przeciągają całe korowody śpiewaczek, tan-

cerek, herbaciarnie płoną światłem. Niektórzy w noc tę całkiem nie kładą się spać, inni znowu wstają bardzo wcześnie, aby powitać wschodzące słońce.

Ojcowie rodzin składają na ołtarzach domowych ofiary bóstwom rodzinnym, następnie składają sobie nawzajem życzenia najpierw w najbliższem kole rodzinnem, potem wszyscy wyruszają z wizytami z życzeniami. Najczęściej nie zastają się w domach bo wszyscy wychodzą. Naturalnie, że z powodu święta znowu urządzają dla dzieci rozmaite przyjemności.

Obchodzą też i inne święta i to śliczne, a mianowicie „święta kwiatów“. Są więc święta chryzantem, jaśminu, kwiatu wiśni, kwiatu jabłoni i tak dalej, a obchodzą je w czasie kwitnienia tych kwiatów. W dniach tych stroją domy, riksze, herbaciarnie i samych siebie kwieciami, którego święto właśnie obchodzą.

— To śliczny zwyczaj — powiedziałam.

Nazajutrz rano wyszliśmy wcześniej, chcąc przypatrzeć się domom i codziennemu życiu Japończyków. Szliśmy więc ulicami w których mieszkała uboższa ludność miasta.

Spotykaliśmy wszędzie domki malutkie, czyściutkie, budowane z lekkiego drzewa. Przy każdym domku ogródek, w nim pełno kwiatów i bawiących się dzieci.

Kobiety robiły ranne porządki.

Przystanęliśmy przed jednym domkiem, i co za dziwo! Nie było w nim ani okien, ani drzwi, gospodyni wysuwała ściany domu i zsuwała, niektóre wyjmowała zupełnie i zносиła w jedną stronę domu i ustawiała obok siebie, a wszystkie te ściany i parawany były malowane, albo wyklejane malowanym papierem. Jedna tylko ściana była nieruchoma.

Naraz pokoje znikły, a cały dom zmienił się w jedną przestrzeń i to otwartą zupełnie od ulicy i boków. Na podłodze leżały jakieś grube maty czy kołdry, i te gospodyni pozwijiała i pozanosila tam, gdzie stała nieruchoma ściana domu. Pozabierała też z podłogi jakieś niskie, małe stołeczki, powycinane okrągło z jednej strony. W do-

mu pozostało tylko kilka malutkich, niziutkich jak podnóżki stoliczków.

W pośrodku domu zobaczyliśmy otwór obmurowany, a w nim naczynie metalowe, napełnione żarzącem się węglem, na węgle te postawiła gospodyni naczynie z wodą. Potem, w jednej chwili zamiotła podłogę, zaścieliła ją cienkimi matami, na matach postawiła stoliczki i porządek był zrobiony.

— Nie mogę tego zrozumieć, czy ci ludzie mieszkają w tych domach, czy nie? — powiedziałam.

— Dlaczego?

— Bo niby jest gospodyni, są dzieci w ogródku, ale dom cały prawie rozebrany i pusty, niema w nim pokoi. Każdy z ulicy może widzieć wszystko, co się dzieje w domu, niema żadnych nawet najniezbędniejszych sprzętów. Ani stołu, ani stołka, ani ławki, ani łóżka, co przecież znajduje się w każdej nawet najuboższej chacie. Jakże oni żyją? na czym śpią? przy czym pracują i jedzą? na czym siadają?

— Śpią na podłodze, jedzą przy tych maleńkich stoliczkach, a siadają na piętach.

— Jakto na piętach? pan żartuje.

— Wcale nie, zaraz się pani przekona, odparł p. Rozmoski.

W tej właśnie chwili wszedł z ogrodu do domu gospodarz, zostawiwszy obuwie u wejścia, za nim wbiegły dzieci, także pozrzucawszy słomiane patynki. Najmniejsze dziecko było nagie, inne miały jakieś małe kimonka sięgające ledwie kolan, wycięte koło szyji i prawie bez rękawków.

Ojciec ukląkł przy jednym stoliczku, poczem usiadł tak, że siedział na własnych piętach ku górze wysuniętych. Przy drugim stoliczku usiadły tak samo dzieci. Matka postawiła przed każdym miseczkę z ugotowanym przed chwilą ryżem, nałożyła w każdą po parę malutkich ogóreczków i nalała każdemu do małej filiżaneczki herbatę z imbryka.

Tak jedzono śniadanie.

— A co, czy miałem słuszność, że siadają na piętach?

— No, tak. Ale na czym spali?

Spali na tych kołdrach czy matach, które gospodyni przed chwilą pozbierała, a głowę na noc opierali na tych powycinanych stołeczkach.

— Co, na twardych stołeczkach?

— Do wszystkiego można się przyzwyczaić, a Japonki dla tego nie sypiają na poduszkach, gdyż nie chcą zniszczyć pięknych fryzur, które czeszą raz na kilka dni, a opierając tylko szyję i dolną część głowy na stołeczku, chronią fryzury.

— Ale podgolony Japończyk nie potrzebuje się obawiać o swą fryzurę.

— Niezawodnie, lecz już taki u nich zwyczaj, a owa drewniana poduszka ma jeszcze jedną zaletę, ma szufladkę na kluczyk zamkniętą i jest jakby skarbczykiem. W nią chowa Japonka kosztowne szpilki, klejnoty, a Japończyk ważne papiery i relikwie. Do pościeli należy zaliczyć też kołdry i ciepłe watowane kimona w które zawijają się w zimie. — Na noc ustawiają tyle pokoiów ile jest śpiących, a nad każdym wieszają papierowego motyla, który poruszany lada powiewem odpędza owady.

— W czymże trzymają nawet tę małą ilość naczyń i te kołdry czy maty?

— Przy jedynej nieruchomej ścianie domu są dwa wgłębienia, coś niby szafy bez drzwi, które także zasuwają ruchomymi ściankami. W jednej z nich jest coś w rodzaju domowej kapliczki. W niej są zwoje papierów, stolik z szablą, przybory do pisania i pamiątki rodzinne. W drugim przedziale gospodyni chowa pościel, odświętną odzież, naczynie i wszystkie przybory gospodarskie.

— Dziwię się tylko, że te ściany dają się tak łatwo przesuwąć i nie poupadają.

— W podłogach jest mnóstwo rowków w które ściany można wsuwać i urządzić tyle pokoiów ile potrzeba.

— Ależ to robota z tymi ścianami codzień przesuwanymi!

— Nie większą jak zmiatanie kilku pokoi i kuchni, wymiatanie z kątów śmiecia, ścieranie kurzu z mnóstwa sprzętów. Ręczę pani, że gospodyni czy służąca japońska

ma dużo mniej roboty. Dzieci chodzą po domu w jednym lekkim kimonku, nie noszą ufalbankowanych sukienek ani bielizny, więc sprzątania, prania, jest bardzo mało, gotowania w uboższym domu japońskim jest także mało. Trzy razy dziennie jedzą wszyscy ryż z jakimś dodatkiem: albo z rybą, albo z ogórkami, albo z owocami.

— Już wszystko dobrze, ale obchodząc się bez bielizny nie mogą chyba zachować czystości.

— Przeciwnie, żaden inny naród nie przestrzega tak czystości jak Japończycy, którzy kąpią się najmniej dwa lub trzy razy dziennie, po każdym jedzeniu i przed spaniem. W każdej restauracji do podanych potraw zalicza się i kąpiel.

— A ubodzy ludzie?

— Zaraz pani pokażę łazienki ubogich, są na każdej ulicy.

Poszliśmy nieco dalej i zobaczyliśmy stojące na ulicy kadzie, przy nich piecyki; piecyk z kadzią łączył się rurą, którą do kadzi wpływała woda, z kadzi buchała para, a przy kadzi skakały dzieci, które matka wrzucała do wody, starsze wskakiwały same chlupiąc się i śmiejąc.

— Jakto, i tak na ulicach kąpią się i ludzie starsi?

— A tak.

Właśnie jakaś Japonka odrzucała kimono i wchodziła do kadzi ustawionej o sto kroków dalej, a pan Rozmoski dodał, że kąpiele te są bardzo gorące, Japończycy kąpią się w takiej wodzie, jakiej Europejczyk nie wytrzymałby. Zimną kąpiel uważają za tortury. Ślubują ją bogom za wybawienie z jakiegoś nieszczęścia.

Potem oglądnęliśmy domy zamożnych mieszkańców. I te miały mało sprzętów, i ściany rozsuwane wewnątrz, ale już nie tak na oścież pootwierane. I tu były niskie stoliki i maty, i tu siedziano na ziemi, ale już kuchnie były osobne, pokoje były ozdobione ślicznymi wazonami pełnymi kwiatów, parawanami haftowanymi lub malowanymi, mnóstwem wachlarzy, zastawione etażerkami. Ale i te domy były drewniane, bez podwalin, bez murów.

— Nie rozumiem, dlaczego choć zamożni ludzie, nie

zbudują sobie porządnych, murowanych domów, któreby ich chroniły w zimie od zimna — powiedziałam.

— Dlatego, że w Japonji, która ma mnóstwo wulkanów, bywają częste trzęsienia ziemi, więc nie można stawiać domów trwałych. Prawda, że wśród drewnianych domów szerzą się częste pożary, ale choć dom Japończyka spłonie, strata ta, nie przedstawia tak wielkiej szkody. Cena przeciętnego małego domu wynosi ledwie kilkaset złotych, najdroższe takie domki kosztują około czterech do pięciu tysięcy złotych polskich. A jest jeszcze jedna dogodność: Gdy taki dom spłonie, idzie się do przedsiębiorców, którzy mają na składzie gotowe części domów, które w ciągu kilkunastu godzin dadzą się zestawić. Ten, komu dom spłonął jednej nocy, podczas następnej nocy może spać w nowym, wystawionym na tem samem miejscu. Japońskie przysłowie powiada, że mało jest ludzi, którzyby się w tym samym domu urodzili i umarli.

Idąc dalej, zobaczyliśmy właśnie domek, który budowano.

Na ziemi była ułożona podłoga, w nią wbijano cztery słupy w czterech rogach podłogi, a na nie zakładano dach. Wyglądało to tak, jak nasz stóg na siano.

Pewno za kilka godzin ustawią ściany i dom będzie gotowy.

Bardzo przyjemnie spędziłam już kilka dni w Japonji, a dotąd nie widziałam twarzy zachmurzonej, zniechęconej. Zdawało się, że życie tu upływa wszystkim jak w bajce.

Kobiety, wszystkie łagodne, uśmiechnięte, chociaż niektóre z nich dźwigały na plecach dzieci i tak dźwigając je, spełniały codzienną robotę w ogrodzie, na polu, w domu. W Japonji nie wożą dzieci w wózkach, lecz matki lub piastunki noszą je jak tłumoczki na plecach, a jeżeli starsze nie może jeszcze samo chodzić, to matka jedno dźwiga na plecach, a drugie niesie na rękę, a mimo to, nie krzywi się, ale zawsze uśmiecha łagodnie.

Zastanowiło mnie to, że ani razu nie spotkałam, ani na ulicy, ani w otwartych na wylot domach przy najcięższej pracy, ani jednej kobiety rozgniewanej, łajzącej, ani

nawet skrzywionej. Gdy powiedziałam o tem panu Rozmoskiemu, on odparł:

— Nietylko pani, ale pewno nikt nie zauważył w Japonji kobiety zagniewanej, kłótlivej, łającej. Do tej u-przejmości, uległości, łagodności przyuczają je od wczesnego dzieciństwa, bo jest taki zwyczaj w Japonji, że niezadowoloną lub swarliwą, a choćby tylko pochmurną żonę, mąż ma prawo odesłać rodzinie. Odesławszy rodzicom żonę, mąż jest wolny, może nazajutrz wziąć inną. Położenie zaś odesłanej do domu żony jest bardzo przykre. Musi usługiwać wszystkich w domu i spełniać wszystkie rozkazy.

Żał mi się zrobiło tych kobiet, bo zrozumiałam, że ich zawsze łagodne wejście, uśmiechnięta twarz, nie są dowodem szczęścia czy zadowolenia — tylko maską pokrywającą często smutek i cierpienie.

Zbliżała się pora obiadu. Cały czas jadalśmy w hotelu utrzymywanym przez Europejczyków, gdyż po owym obiedzie u chińskiego mandaryna nie mogłam dotąd odważyć się na jedzenie potraw krajowych.

Ale pan Rozmoski powiedział:

— Co innego w gościnie i w dodatku u Chińczyków, gdzie należy zachować formy najśmieszniejszej grzeczności, a co innego w restauracji, gdzie wolno niejeść tego, co nie smakuje.

Zaprowadzę państwa do restauracji „Pod księżycem i kwiatami“.

— O! jaka ładna nazwa.

— Już to Japończycy umieją wymyślać śliczne nazwy: n. p. dziewczęta nazywają: Promieniem słońca, Uśmiechem jutrzeńki, Kwiatem jaśminu i tym podobnie.

Weszliśmy do restauracji.

Na matach poukładanych na podłodze siedzieli, a raczej przykucnęli Japończycy, w małych grupkach, pod dwóch, trzech przy każdym stolczku, wszędzie pito herbatę z małutkich filiżaneczek.

Gdy weszliśmy, dziewczęta usługujące, ubrane w barwne kimona, padły tamtejszym zwyczajem na twarz przed

nami na powitanie, poczem pobiegły żywo, przyniosły i rozłożyły matę.

Pan Rozmoski kazał rozścielić ją w takim miejscu, skąd mogliśmy widzieć dobrze przechodniów. Ja tymczasem rozglądałam się po restauracji. Ściany jej były malowane w piękne wzory, a na nich rozwieszone jakieś napisy, tam znowu ryciny, tu i ówdzie stały parawaniki malowane w kwiaty, ptaki, a pod ścianą na podłodze stały kilkuramienne świeczniki, wysokie jak człowiek.

Goście restauracyjni siedzieli na piętach, ale nam wniesiono stołeczki i kilka malutkich, śliczniutkich filiżaneczek porcelanowych.

Potem weszły kelnerki z czarnemi, lakowemi filiżankami, a inne nalewały w nie zupeł. Zupa ta była to gorąca woda, w której pływał kawałeczek gotowanej ryby, jakiś knedelek i parę malutkich cebulek. Zupa ta, nie smakowała mi wprawdzie, ale też nie była wstrętną.

Na drugie danie, wniesiono na talerzykach z różowej delikatnej porcelany jakąś potrawę z ryżu i smażonych brzoskwiń, do tego podano pałeczki, śliczne, metalowe, które miały służyć jako widelce. Będąc w Chinach nauczyłam się już trochę używać przy jedzeniu pałeczek. Ta potrawa smakowała mi bardzo, a nawet żałowałam, że podano ją w takiej małej ilości.

Zaledwie skończyliśmy jeść, gdy wbiegły do sali dziewczątka niewielkie, zgrabne, strojne, w śliczne kimona, usiadły w głębi pod papierową ścianą, ujęły w drobne rączki trzy strunowe „samisy“, instrumenty muzyczne, podobne do gitary i zaczęły grać, a raczej brzdąkać cicho. Muzyka ta nie przypadła nam do gustu, i daleko ciekawiej przypatrywałam się muzykantom, aniżeli słuchałam muzyki.

Po ukończonym koncercie, muzykantki przykucnęły przy papierowych ściankach, śmiejąc się i przypatrując gościom, a właściwie nam, którzy siedzeniem i sposobem jedzenia budziliśmy ich podziw.

Tymczasem kelnerki wniosły sakki. Jestto rodzaj wódki ryżowej. Wniesiono ją w ślicznych flakonach porcelanowych, a nalewano w filiżaneczki tak maleńkie, a tak ślicz-

niuchne i delikatne, że ledwie śmiałam dotknąć się ich, aby nie rozdzielić tych cacek.

Teraz wniesiono trzecią potrawę — była to ryba morską — ułożona nader wykwintnie. Podanie tej ryby było prawdziwem arcydziełem sztuki kuchmistrzowskiej. — Bła-



doróżowe płatki ryby leżały na rodzaju półmiska, czy raczej salaterki z jasno błękitnej porcelany, ozdobionej arabeskami złotymi — salaterka ta opierała się na kryształowej podstawie, na której ułożone były śliczne wzory z liści laurowych i kwiatów. Jakieś nieznane mi jarzyny, ułożone w wieżyczki, przetykane też rzodkiewką i liśćmi otaczały

rybę — do tego podano w osobnej sosjerce sławny japoński sos soja.

Mimo całej elegancji w podaniu nie śmiałam tknąć owej ryby, która była... surowa.

— Przed i po rybie podana wódka pomoże ją strawić — powiedział pan Rozmoski.

Kelnerka była zdumiona, że nie tknęłam potrawy, która była dumą kucharza.

Podczas gdy pan Rozmoski i dalsze otoczenie kończyło zajadać ulubiony przysmak, na salę wbiegło lekko, drobniutkimi krokami kilka Japonek z wachlarzami w rękach; ubrane były równie strojnie jak muzykantki i rozpoczęły taniec.

Nie był to taniec w właściwym tego słowa znaczeniu, ale szereg ruchów, wyginań. Tancerki podając sobie ręce przesuwwały się w oczach widza, tworząc coraz to nowe a wdzięczne dla oka obrazy.

Po tańcu podano czwartą potrawę. Była to znowu ryba, ale teraz gotowana i ułożona na półmisku z porcelany w desenie zielone i złote.

Na piąte danie podano znowu rybę. Barwa jej była biała, dokoła otaczały ją różowe homary, czyli raki morskie, pomiędzy białą rybę a różowe raki, wetknięto znów listki i kwiaty, ułożone bardzo gustownie.

W końcu, jako siódmą potrawę podano ryż, ułożony na półmisku z kwaszonymi ogóreczkami, cebulką i innymi jarzynami, coś w rodzaju naszych korniszonów i pikłów.

Potem raz jeszcze podano sakki, lody, cukry i herbatę, a w końcu rachunek do zapłacenia, który jako bardzo ciekawy, zachowałam na pamiątkę.

Rachunek:

1) Za potrawy i sakki razem	2 yenny 72 seus
2) Dla kelnerek, muzykantek, śpiewaczek i tancerek	— 75 seus
3) Za przygotowanie kąpieli	— 12 seus
4) Za lody, cukry, herbatę	— 25 seus
Ogólnie	3 yenny 84 seus (około 20 złotych)

Sumę tę wypłacono nam 10-go miesiąca 9-go dnia — podpisano: Shin-Mitszi. Restauracja pod „Księżycem i kwiatami“.

Z kąpiei nie korzystaliśmy, bo jakoś dziwnie nam było wchodzić w wodę jedno po drugim. Panowie zapłacili rachunek i już mieliśmy wychodzić, gdy w tem zerwała się burza i gwałtowny deszcz zmusił nas do zostania w restauracji.

Usiedliśmy więc na dawnych miejscach w pobliżu otwartych ścian i patrzyliśmy na ulicę, która przedstawiała w tej chwili ciekawy i zabawny obraz.

Przechodzący ulicą Japończycy i Japonki zaczęli uciekać, jedni rozpinali nad sobą europejskie parasole, inni zaś zarzucali bez ceremonji na głowę kimono, a czyniły to głównie kobiety, chroniąc przed zmoknięciem swe sztuczne fryzury. Wtedy widać było nogi w sandałach, pończochy i króciutkie spodniczki, ale już najzabawniej wyglądał jeden elegant w kimonie i cylindrze, który zarzucawszy kimono na głowę pokazał drewniane sandały i nagie łydki... uśmieliśmy się serdecznie z tego widoku.

Inni rozpinali nad sobą parasole papierowe, natłuszczone, chroniące od zamoknięcia, lub zarzucali na siebie coś w rodzaju peleryn, także z natłuszczonego papieru. Kulisi ubierali czapki, także z takiegoż papieru, tam znowu strojne damy japońskie umykały w lektykach, niesione przez kulisów — tylko dzieci bawiące się na ulicach nie troszczyły się o zmoknięcie, bo nie miały na sobie niczego, coby deszcz mógł zniszczyć.

Przypatrując się uciekającym przed deszczem Japończykom, którzy wydali się znacznie wyższymi, bo podkładali sobie pod obuwie drewniane podstawki, aby nie zawalać często pięknie haftowanych trzewików, wróciliśmy do rozmowy przerwanej przed obiadem.

— A więc powiedziałam — całe to pełne zabaw, śmiechu, pieszczot, życie małych dziewczynek japońskich kończy się twardą pracą i upokorzeniem, gdy wyrosną na kobiety.

— Tak pani, nikt całe życie nie może się bawić, a po-

równując życie Japonek z życiem innych kobiet Wschodu, jest ono stanowczo jeszcze nienajgorsze.

— Niech mi pan jeszcze powie coś o wychowaniu dzieci w tym kraju — prosiłam.

Chętnie — odpowiedział pan Rozmoski. — Narodziny dziecka, szczególnie jeśli to jest chłopiec, są wielkiem świętem w rodzinie. Daje się o tem znać krewnym i przyjaciołom; a ci schodzą się tłumnie, ażeby nowe bobo ujrzeć i rodzicom złożyć życzenia. Nie przychodzą z próżnemi rękami, znoszą podarki dla nowonarodzonego: już to materje na suknie, już to zabawki, już to jakieś przysmaki, a zazwyczaj jaja. Prezencik owinięty jest czystym papierem, czerwoną nitką związany, a na końcu nitki małutki węzełek z czerwonego papieru, gdzie jest kawałeczek ryby „noski“, co szczęście dzieciom przynosi.

Siódmego dnia po urodzeniu, daje ojciec swemu potomkowi imię, zazwyczaj własne, nieco odmienne, albo imię jakiegoś przodka, a jeśli to dziewczyna, to ją nazywają: Wiosną, Promieniem słońca, Kwiatem jabłoni, Lilją, Chryzantemą itp. Potem następuje zapisanie dziecka do powiatowych ksiąg metrykalnych i uczta z ryżem i czerwoną fasolą. W dniu zapisu odbywa się także pierwsze golenie głowy nowonarodzonego, przyczem jednak zostawiają mu jeden lub parę fantastycznych kosmyków czarnego meszku, co mu daje dość pocieszny wygląd.

Dopiero po trzydziestu dniach rodzice z całym koro-wodem krewnych niosą dziecko do świątyni i tam oddają je pod szczególną opiekę jednego z bóstw. Równocześnie odwdzięczają się rodzice rozsyłaniem podarków pomiędzy krewnych i przyjaciół. Są to zazwyczaj kawałki placka ryżowego, jaja, lub łakocie, zamknięte w lakierowanej kasetce, wraz z uprzejmem pismem dziękczynnem. Odbiorca wyjąwszy podarek, zwraca kasetkę przez posłańca, lecz broń Boże, nie wysypuje z niej okruszek, gdyż to mogłoby dziecku zaszkodzić.

Odtąd chowa się dziecko pod okiem matki i starszego rodzeństwa. Utrzymują koło niego nadzwyczajną czystość, kąpią go w wodzie gorącej, zresztą pozostawiają zupełną swobodę.

Ubranie dzieci, z wyjątkiem dni uroczystych, jest więcej niż skromne, dzieci chodzą prawie, że nie ubrane, latem w kimonkach sięgających ledwie do kolan, a w zimie zawinięte w watowany szlafroczek i na tem kończy się ich strój. Co to za radość dla dzieci, nikt ich nie upomina: Uważaj na sukienkę, nie zemnij, nie poplam. A drugą radością japońskiego dziecka jest dom bez sprzętów, bez firanek i tym podobnych rzeczy. Dziecko nie może wyrządzić żadnej szkody, nie może nic stłuc, rozbić, popłamić, a więc i kar za te przewinienia dzieci nie otrzymują. Stąd też wypływa, że w Japonji nie istnieją kary dla dzieci.

— Co pan mówi?

— Tak, — bo główną część przewinień usuwają zwyczajnie.

— To dzieci muszą tu być bardzo grzeczne.

— O, i bardzo, tembardziej, że nie każą im nikogo całować w rękę, ani w twarz.

— A jakże się witają i żegnają?

— Jak starsi, padają na ziemię. Japończycy nie znają pocałunków.

— Co pan mówi?

— Nie całuje tam nikt, nigdy nikogo.

— Ani matka własnego dziecka?

— Ani.

— O, tego, to już pan chyba nie nazwie rajem dzieci.

— Nie przeczę, że pocałunek matki jest rozkoszą dla dziecka. Ale zapewne wiadomo pani, że już i w Europie zakazują całować dzieci, bo pocałunkami nieraz wszczepiają się choroby.

— A ja nie zgodziłabym się na to, żebym nie mogła całować mojej matusi.

Po skończeniu lat siedmiu, dziewczynki i chłopcy chodzą razem do szkół, gdzie siedząc na ziemi uczą się pisać a raczej malować tuszem, w podobny sposób jak Chińczycy, ale alfabet ich jest znacznie uproszczony.

Potem chłopcy kształcą się dalej, albo wybierają sobie jakiś zawód. Szkoły ich ostatnimi czasy zostały bardzo ulepszone, dużo w nich wprowadzono zmian.

Dziewczynki rodzin ubogich pomagają matkom w pracy

domowej, bawią dzieci. Zamóźniejsze Japonki w ostatnich czasach kształcą się też wyżej, ale to wyjątkowo — przeważnie uczą się tańca, gry na samiso i na innych instrumentach. A ważnym bardzo przedmiotem w wykształceniu dziewcząt jest sztuka układania kwiatów i wiązania ich w bukiety, bo jak pani już wie, w skromnem urządzeniu domów japońskich główną ozdobę stanowią kwiaty, wkładane do wspaniałych porcelanowych wazonów i wachlarze.

Dziewczynki ubogich bardzo rodziców, którzy mają więcej dzieci i sieroty bywają przeważnie kształcone na gejsze t. j. na śpiewaczki i tancerki publiczne. W Japonji, jak to pani dziś widziała, żaden obiad w restauracji, ani w herbaciarni nie obywa się bez śpiewu i tańców. Są też i zakłady kształcące na gejsze wyższego typu, które bywają wzywane do domów arystokratycznych — na te gejsze wybierają najpiękniejsze, najzręczniejsze, najbardziej utalentowane do muzyki i tańca, dziewczynki.

Dziewczynki te stroją się, uczą i młodość ich bywa wesola, ale gdy tracą wdzięk, młodości, świeżość głosu, spadają coraz niżej, schodzą do coraz nędzniejszych restauracji, herbaciarni, kończą życie w ciężkiej pracy, nędzy i upokorzeniu.

O jakież to smutne, — zawołałam — to niesprawiedliwe. Jak można z góry, najmilsze, najwdzięczniejsze stworzenia przeznaczać na taką dolę.

Miejmy nadzieję, że w miarę postępu „w Japonji znikną gejsze, pracują już nad tem wykształcone kobiety japońskie.

Jeszcze tylko dwa dni mieliśmy zabawić w Japonji, brat się spieszył, bo miał czas ściśle wyznaczony, ale mnie tak tu wszystko zajmowało, że chciałam jak najwięcej oglądać.

Zapytałam więc pana Rozmoskiego, co w tych dwóch dniach należałoby jeszcze zwiedzić.

— Nie widziała pani dotąd świątyń japońskich i należałoby też zobaczyć jak Japończycy wyrabiają te prześliczne drobiazgi z laku, papieru, drzewa i metalu, którymi słyną na świat cały.

— A więc chodźmy do jakiego kramu.

Pan Rozmoski znał kupca, którego wyroby były bardzo wysoko cenione i miały sławę nie tylko w Japonji, ale i w Anglii. Nazywał się Ama - Kaja.

Wyobrażałam sobie, że zobaczymy fabrykę zajmującą wielką ilość robotników. Tymczasem był to domek, nie większy od innych. Kilka parawaników artystycznej roboty stanowiły ruchome ściany sklepu, który w miarę przybywania i ubywania towaru można było rozszerzać i ścieśniać. Dokoła rozmieszczone były śliczne półeczki, tacki, kasetki, wachlarze i rozmaite drobiazgi.

Przypatrując się tym przedmiotom spostrzegłam bardzo piękną kasetkę, która mnie zachwyciła i kształtem i wykończeniem.

Gdy wyraziłam mój zachwyt, właściciel sklepu powiedział:

— Tak, to rzeczywiście wyjątkowo piękny kawałek.

— Ile kosztuje?

— Pięćset dolarów.

— Co? — zapytałam zdumiona, myśląc, że mi się przesłyszało.

Kupiec uśmiechnął się i powiedział:

— Tak, te rzeczy, jeżeli są wykonane precyzyjnie, są rzeczywiście bardzo drogie, dwa lata temu na wystawie w Paryżu zapłacono mi za parawanik sześćdziesiąt tysięcy franków.

— I któż to kupił?

— Muzeum przemysłowe w Edynburgu.

— Dlaczego te rzeczy są tak drogie?

— Bo wymagają wielkiej umiejętności fachowej, wielkiej dokładności, wielkiej cierpliwości i bardzo długiej, żmudnej pracy.

— Z czego właściwie robią te rzeczy? zapytałam.

— Chętnie pani opowiem — rzekł syn właściciela sklepu, który przez rok był we Francji i mówił poprawnie tym językiem.

Wyroby te są wykonywane z pewnego leciuchnego drzewa, a potem zapuszczane żywicą innego drzewa szpilkowego. Drzewo z którego zbiera się żywica, nadcinamy

na wiosnę u dołu i zbieramy starannie każdą kroplę wyciekającego zeń soku, a potem nadcinamy coraz wyżej i wyżej, aż do wierzchołkowych gałązek. Gdy wszystek sok spłynie, drzewo zupełnie marnieje. Potem sok ten zostawiamy w spokoju, dla oczyszczenia — u góry zbiera się warstwa najczystsza, a w dół opadają męty. Zaprawianie tej żywicy jest tajemnicą każdego wytwórcy.

W tę zaprawioną żywicę zanurzamy drewnianą lub tekturową formę przedmiotu. Im więcej razy zanurza się przedmiot, im czystszej i doskonalszej używa się żywicy, tem droższy bywa przedmiot. Ta kasetka, która się tak pani podobała, była zamoczona jedenaście razy, i tyleż razy bardzo starannie suszona, rysunek do niej robił jeden z najlepszych artystów japońskich, malowana zaś jest szczerem złotem i najkosztowniejszemi farbami, które w ciągu tysiąca lat nie tracą barwy.

— Tysiąc lat! Takie filigranowe cacko — rzekłam z powątpiewaniem.

— Tak pani — rzekł młody przemysłowiec — w Naza, w świątyni Buddy, są święte księgi przechowane w takich kasetach, wykonanych na 200 lat przed naszą erą, a więc mają przeszło dwa tysiące lat, a są tak czyste, tak piękne, jakby dziś były wyrobione.

— Skoro nowy parawanik może kosztować sześćdziesiąt tysięcy, franków, jakąż wartość mogą przedstawiać te kasety?

— Rzecz taka — odparł młody Ama-Kaja, nie może być już oszacowana pod względem materialnym.

Poprosiliśmy kupca, ażeby nam pozwolił zwiedzić swą pracownię.

Syn zamienił z ojcem słów kilka i rzekł:

— Ojciec prosi.

— A nie lęka się pan, że podpatrzymy tajemnicę — zapytał pan Rozmoski żartem.

Japończyk uśmiechnął się lekko i rzekł:

— Żaden z robotników, którzy u nas pracują, nie zna naszego sposobu zaprawiania laki. Mój ojciec robi to sam w tajemnicy, a sekret ten otrzymał od swojego ojca i dopiero tego roku mnie go powierzył — a ja znów zostawię

go w spuściźnie mojemu synowi, jeżeli bogi mnie nim obdarzą i jeżeli on będzie miał zamiłowanie do tej pracy.

A jeżeli nie zechce poświęcić się zawodowi ojca?

— To sprzedam naszą tajemnicę, za drogie pieniądze — rzekł z dumą młody Ama-Kaja. — W całym mieście, a nawet w całym kraju znane są wyroby rodziny Ama-Kaja — niech tylko się dowiedzą, że chcemy sprzedać nasz sekret, zgłoszą się przemysłowcy i przelicytowywać się będą.

Weszliśmy do pracowni.

Zastaliśmy kilku Japończyków, siedzących na piętach, albo pochylonych na klęczkach. Przed nimi stały talerzyki i kasetki wyrobione z drzewa, tak delikatnie i tak lekko, że zdawało się, że to przedmioty ze zwyczajnego papieru.

Pracowano zrećźnie, powoli, z nadzwyczajną cierpliwością. Jeden z robotników trzymał właśnie na papierze narysowany wzór, który miał być przeniesiony na tacę.

— Rysunek ten jest dziełem mistrza, kosztuje drogo, dlatego i taca, którą będzie zdobił, będzie też bardzo kosztowna — rzekł Ama-Kaja.

Robotnik wziął go ostrożnie do ręki, rozgrzał bardzo uważnie nad płonącym ogniskiem, przyłożył zrećźnie na powleczonej już dziesięcioma warstwami laku tacę, przycisnął ręką — a gdy papier odjął, rysunek był wyraźnie odbity na tacy. Późem wziął delikatny pędzelek i powoli, ostrożnie, powiódł nim po części rysunku, następnie na mokre jeszcze szpilki tkwiące we włosach odbitej na tacy Japonki, potrząsnął leciuchno najdelikatniejszy, jak tylko sobie można wyobrazić pyłek złoty, poczem strząsnął go — suche miejsca nie przyjęły pyłu, ale szpilki błyszczały szczerem złotem.

— Zanim robotnik utrwali zapomocą złota, srebra i barwników, ten rysunek, minie dni kilkadziesiąt.

Ale oto inny robi obłok.

I znowu ujrzelśmy, jak inny robotnik posypał świeżo pociągnięty werniksem rysunek obłoku, mieszaniną pyłu, sporządzoną ze złota, srebra i perłowej macicy; proszek zostawił po sobie prawdziwą, lekką mgławicę.

Sami nie wiedzieliśmy, co bardziej podziwiać: cier-

pliwość czy zręczność tych pracowników i dopiero zrozumieliśmy, że wyroby te warte tak wysokiej ceny.

Tymczasem Ama-Kaja tłumaczył nam dalej, że po nałożeniu tacy farbami, zanurzą ją znowu w czystym werniksie i pozostawia dłuższy czas w spokoju, zanim wyschnie.

— A długo to suszenie trwa? zapytałam.

— O długo, bo naczynia te stawiamy w miejscach nieprzewiewnych, a nawet lekko wilgotnych, aby schły jak najpowolniej. Po każdym zanurzeniu w werniksie i po każdym osuszeniu, czyści się naczynie i poleruje starannie — a ostatecznie po powleczeniu farbami, czyszczą i polerują je jeszcze raz delikatne ręce dziewcząt, zapomocą bardzo dokładnie wygładzonego węgla drzewnego.

— A jakże są robione te półeczki i te tacki, które u nas sprzedają tak tanio? — zapytałam.

— Ach! ta nędzota — rzekł pogardliwie Ama-Kaja — to nie japońska robota, to ordynarne partactwo europejskie.

Upokorzeni temi słowy, nabyliśmy jakiś mały drobiazg, który z powodu niedostrzegalnego dla oka europejskiego błędu był stosunkowo tani i odeszliśmy, podziękowawszy obu panom Ama-Kaja za objaśnienia.

Pozostała nam jeszcze jedna rzecz do zwiedzenia, a to świątynie japońskie. Zostawiliśmy je na koniec, gdyż mieliśmy oglądnąć świątynię w mieście, przelecieć samolotem ponad okolicą i zobaczyć inne świątynki maleńkie, rozrzucone po kraju, do których dążą pątnicy z prośbami, z ofiarami, a te wyglądają zupełnie inaczej.

Poszliśmy tedy do wielkiej świątyni w Kioto.

Przeszedłszy wielką bramę, ujrzelśmy ogród pełen kwiatów, sadzawek, drzew i ludzi.

Niewiem, czy potrafię dać jakie takie pojęcie tego, co się tam działo. Było to coś w rodzaju tego, co się dzieje u nas podczas Zielonych Świątek na Bielanach pod Krakowem i Warszawą, ale nasz gwar jarmarczny w porównaniu z gwarem, który spotkaliśmy tutaj, jest jakby brzękiem muchy wobec głośniejszej wrzawy.

Przedewszystkiem uderzyły nasz wzrok u progu świą-

tyni stojące, olbrzymie posagi dwóch bóstw, pomalowanych na czerwono i zielono. Nad jednym unosiły się jakieś gzygzaki, drugi miał u nóg skrzydła. — W koło świątyni nieprzeliczony tłum latawców, które puszczały wszyscy: dzieci, wyrostki i starsi.

Na łakach między publicznością krążyli przekupnie z rozmaitymi przysmakami: z ryżem, nadziewanymi rakami, owocami, cukrami, herbatą.

W tłumie tym widać było ludzi rozmaitych stanów, a wszystko wesołe i uśmiechnięte. Strojne kobiety w kwiecistych kimonach, osłaniające się parasolkami z malowanego papieru, pozdrawiały się wachlarzami — ojcowie i matki uganiali z dziećmi za latawcami, inni znowu siedząc na nogach popijali herbatę lub sakę z malutkich filiżaneczek, tam znowu jakiś kuglarz pokazujący sztuki czarodziejskie, otoczony rozbawionymi widzami, a tam kulisi z taczkami i lektykami, zapraszający grzecznie przechodniów.

Naraz ten i tak już ogłuszający gwar został przygłuszony głosem bębnów, surm, trąb i nie wiem jakich już instrumentów... Istna wrzawa piekielna.

Mimowoli podniosłam ręce do uszu, spojrzałam w stronę skąd pochodził ów piekielny wrzask i zapytałam naszego towarzysza, co to takiego?

— To procesja religijna — odparł pan Rozmoski.

— Ależ to niepodobna — zawołałam zdumiona.

— A jednak prawdziwe. Spójrz Pani!

I w rzeczy samej zobaczyłam jakieś wózki i wozy, wysokości piętrowej, na których niesiono posagi bogów, obok postępowali bonzowie t. j. kapłani japońscy z muzyką, w której najważniejszym instrumentem były blachy, które remi uderzano, trąby, bębny. Bawiący się tłum częścią tylko zwracał uwagę na tę procesję. Procesja przechodziła z wrzaskiem, muzyką, ale nikt nie okazywał dla niej szacunku, nikt nie wstrzymywał się w zabawie — usuwano się tylko grzecznie z drogi, ale nie czyniono tego z oznakami pobożnego uszanowania, lecz z prostej grzeczności, z jaką usuwają się jedni przechodnie przed drugimi.

Tymczasem procesja przeszła, zabawa przeniosła się

na tyły świątyni, a z przodu gdzie szerokie schody prowadzą do środka, gdzie stoją owe dwa czerwone i zielone posągi bóstw, hałas zaczął się zmniejszać, a natomiast napływać tam zaczęli ludzie, widocznie oczekujący czegoś.

Niedaleko wejścia do świątyni, wznosiła się trybuna, coś w rodzaju naszej mównicy, ustrojona kwiatami.

Trybuna ta wzniesiona z jakie dwa metry ponad ziemię, połączona była z drzwiami świątyni, mostkiem z desek okrytym barwną matą. Na trybunie stał ołtarzyk, a w nim zwierciadło.

Naraz cisza zapanowała w tłumie. Wszystkie oczy zwróciły się ku trybunie. Spojrzeliśmy i my. Na wzniesieniu stał starzec, a obok niego niewielkie chłopię, jeden przyłożył do ust piszczalkę, drugi uderzył w bęben.

Równocześnie z uderzeniem w bęben w progu świątyni pojawił się kapłan, ubrany w suknię szeroką z jedwabnego, złotymi nitkami przetykanego brokatu, na głowie miał hełm, w ręku dwa miecze. Ruchy jego i twarz, były pełne powagi. Wśród zupełnej ciszy wszedł na trybunę, ozwały się ciche, tęskne, jękliwe tony fletu, kapłan rozpoczął taniec poważny, a raczej walkę z czymś, czego nie było. Składał się, wpatrywał się w jakiś punkt niewidzialny, uderzał mieczem, przecinał powietrze, to znowu niby usuwał się przed ciosami.

— Co to właściwie znaczy? z czym on zdaje się walczyć — zapytałam cichutko.

— To walka ze złym duchem.

Tłum patrzył z zapartym oddechem, jakby kapłanowi naprawdę groziło niebezpieczeństwo. — Ruchy kapłana były poważne, rytmiczne, w takt przytłumionych głosów piszczalki i bębna. Nareszcie widocznie bonz pokonał wroga, podniósł do góry zwyciężki miecz; piszczalka i bęben zabrzmiały tryumfem, tysiące dłoni uderzyło oklaskiem, a bronz z powagą wrócił do świątyni.

— Jaką religję wyznają Japończycy? — zapytałam.

— Dwie religje właściwie wyznają Japończycy, mówił pan Rozmoski — i obydwie istnieją obok siebie, a często nawet w jednej świątyni, znajdują się ołtarze obydwóch wyznań.

— Najdawniejszą, pierwotną religją Japończyków jest „Szintoizm“, zwana też „głosem bogów“, — jest to właściwie wiara w boskie pochodzenie mikadów i cześć dla przodków, dla zmarłych wielkich mężów kraju, a więc sławnych panujących, wojowników, uczonych; duchy tych znakomitości nazywają się „kami“, stąd cześć dla kami jest treścią tej religji, która nie zna żadnych przepisów, ani nauk, a polega tylko na ofiarach, składanych przodkom. — Ofiary te stanowią: oliwa, ciasta, owoce, żywe ptaki, kwiaty i króciuchne modlitwy, które wypowiada składający ofiarę.

— A ta druga religja?

— Ta druga religja to jest „buddaizm“. Ponieważ szintoizm nie posiada wspaniałego ceremoniału, i ogranicza się na prostych świątyniach, przeto Japończycy nie spieszą na modlitwę do świątyni i są wogóle obojętni dla swej pierwotnej religji. To dało powód, że lud chętnie przyjął religję buddaistyczną, która tu wcisnęła się z Chin przez Koreę. Buddaizm jest jakby przeciwstawieniem szintoizmu. Świątynie buddystów przepełnione są malowidłami, posągami, relikwjami, amuletami. Nabożeństwa odbywają się w nich z wielką okazałością, przy dźwiękach muzyki, dzwonów, przy blasku światła i woni kadzideł. Klasztory buddystów wznoszą się zwykle w miejscach odludnych, w głębokich lasach, na wysokich górach, nad niedostępnymi urwiskami... Mnisi błądząc po tych miejscach niedostępnych, wzywają duchy za pomocą rzewnych tonów, długich trębit... Do takich klasztorów wierni odbywają dalekie pielgrzymki, aby zasięgnąć rady kapłana, który ją czerpie od samego bóstwa.

— A świątynia, w której byliśmy dzisiaj, do jakiego należy wyznania? — zapytałam.

— Do obu. W jednej części mieszczą się skromne ołtarze szintoistów, w drugiej wspaniałe i ogromne buddystów.

Przypatrzwszy się wielkiej świątyni w mieście Kioto, dowiedziawszy się o religji Japończyków, przespaliśmy ostatnią noc w tym kraju kwiatów i raj u dzieci.

Rano, brat mój skierował lot nasz ponad sławną górę Fudzi Yama. Podania japońskie mówią, że na tej górze

mieszkają duchy dawnych bohaterów, które w miarę, jak obcokrajowcy zalewają kraj, cofają się coraz bardziej w głąb lasów i gór.



Okolice otaczająca miasto Kioto ponad którym przelatywaliśmy jest gęsto zaludniona, co chwila przelatywa-

liśmy ponad wsiami i miasteczkami, z których każde posiadało jedną, a nawet parę małych świątynek. Droga ta wiodła do Kamakusy, miejscowości słynnej największym w Japonii posągiem Buddy. Niegdyś stała tam drewniana świątynia, ale z czasem rozpadła się, a posąg został bez ochrony.

Widzieliśmy mnóstwo ludzi, którzy szli piechotą lub jechali w lektykach do miejsc świętych. Obok świątynek były też herbaciarnie, w których pobożni pielgrzymi mogli pożywić się, odpocząć i nabrać sił do dalszej podróży.

Wstąpiliśmy do jednej z takich świątynek, do świątyni Maji, matki Buddy, do której podróżują matki japońskie, prosząc o łaskę dla swych dzieci. Cichutko tu było, szereg wonnych świeczek palił się, a na schodach świątyni, schylona w kornej postawie modliła się jakaś matka.

Na tej świątyni ukończyliśmy podróż po Japonii.

Opuszczając ten śliczny kraj, który zostawił mi po sobie najmielsze wspomnienie, skierowaliśmy się ku południowemu portowi Japonii Nagasaki. Tu już zatarło się dużo cech pierwotnej Japonii. Anglicy, Francuzi, Niemcy, których tu pełno, pobudowali sobie domy, gmachy urzędowe, hotele, jeżdżą samochodami, powozami i nadali miastu cechę jakiejś dziwnej mieszaniny.

· Wśród najdzikszych

W Nagasaki mieliśmy się zaopatrzyć w zapasy do dalszej podróży i dla nas i dla samolotu.

Wylądowaliśmy w lotnisku znajdującem się niedaleko portu. Brat i jego pomocnik opatrywali samolot, badali każdą śrubkę, ja siedziałam patrząc na mapę i myśląc o dalszej podróży.

Mieliśmy się zwrócić na zachód i polecieć do Indji. Kraj ten miał dla mnie zawsze wiele uroku. I oto ujrzę ten kraj cudów o czem nawet marzyć nie śmiałam.

Gdy tak siedzę i czekam, kiedy brat mój powie: Siadaj siostrzyczko! — widzę, że zbliża się do niego jakiś Europejczyk, Anglik prawdopodobnie i rozmawia dość długo, pokazuje mu jakieś papiery, brat nawzajem wyjmuje swoje.

Potem zbliżają się do mnie, ów pan uchyla czapki po-dróżnej, i wymienia swoje nazwisko, a potem powiada:

— Jestem Anglik, państwo moje wysłało mnie do Australji w celach naukowych. Samolot mój zepsuł się, nie mogę nim lecieć dalej. Czekalem w porcie, czy nie nadleci jaki samolot, lub nie nadpłynie okręt, któryby mnie mógł zabrać. I spostrzegłem wasz samolot osiadający na lotnisku.

Przekonałem się, że jest w nim miejsce, jeszcze na jednego podróżnego, więc zapytałem brata pani dokąd leci, i czy nie mógłby mnie zabrać. Brat powiedział, że nie macie obowiązkowo wykreślonej drogi, że lecicie dla przyjemności, że mieliście zamiar puścić się do Indji, ale możecie zboczyć z drogi, jeżeli się pani na to zgodzi. Więc przychodzę panią zapytać, czy nie zechciałaby pani polecieć do Australji.

— I owszem — odpowiedziałam — im więcej zobaczę, tem większą mi to sprawi radość.

Więc lecimy do Australji.

— A czy zapomniałaś o tem — wtrącił mój brat — że w Australji są jeszcze dotąd ludożercy?

— Jeżeli pani obawia się dzikich Australczyków, to wylądujemy w jakim angielskim mieście — rzekł Anglik — a tam nie zjedzą nas dzicy. Jeżeli zaś pani zechce, przelecieć nad całą Australją i przypatrzeć się jej z samolotu, to niedosięgnie pani nietylko ręka Australczyka, ale nawet jego bumerang, ani zatruta strzała. Zresztą odkad misjonarze wpływają na dzikich, a Anglja surowo karze przestępstwa, ludożerstwo prawie zupełnie ustaje.

— A więc zgoda — zawołałam — ale i pan przeleci z nami ponad Australją i objaśni mi to, na co będę patrzyła.

— Całkiem słusznie. Brat pani nie chce wziąć zapłaty za przewiezienie mnie, twierdząc, że samolot jego nie jest obliczony na zyski, więc wywdzięczę się mu w ten sposób, że podzielę się z wami memi wiadomościami.

Niebawem wsiedliśmy do samolotu, brat obok pilota, ja obok Anglika, a jakkolwiek Anglicy nie lubią dużo mówić, to nasz towarzysz uważał za swój obowiązek dawać mi wciąż objaśnienia.

Ja, lecąc nad oceanem do Australji, patrzyłam na rozciągające się podemną wody i ziemie, a wy weźcie mapę do ręki, żebyście mogli lepiej zrozumieć, o czem mnie opowiadał Anglik, a ja wam opowiem.

Długo lecieliśmy nad oceanem, nazwanym Spokojnym. Jak daleko sięgał nasz wzrok. uzbrojony lunetą, widzieliśmy wyspy, wyspy i jeszcze wyspy.

Wszystkie te wyspy rozrzucone w oceanie, nazywają się Oceanją.

Gdy przelatywaliśmy nad grupą wysp, zwaną Filipinami, Anglik polecił pilotowi zniżyć lot, ażebyśmy mogli zobaczyć domy, które tam budują niektóre pokolenia. Domy te wyglądają tak, jakby wyrastały wprost z wody, bo budowane są na palach wbitych w wodę.

Mieszkańcy wysp Filipińskich są znakomitymi nurkami, wzięwszy próżną wewnątrz trzcinę w usta, mogą dłuższy czas przebywać pod wodą, dlatego mogą zakładać

podwaliny w wodzie. Założywszy pale pod wodą, budują dopiero na nich domy. Domy takie — mówił Anglik — w dawnych czasach budowali w Europie mieszkańcy Szwajcarii, a brat mój dodał:

— I w Polsce w Gople znajdują się ślady takich budowli.

Anglik zapisał uwagę brata.

— A jakże teraz ludzie wchodzi do tych domów? — zapytałam.

— Długie drabiny opierają jednym końcem o ląd, a drugim o wejście do domu. i wchodzi po tych drabinach. Jeżeli nie chcą dopuścić kogoś do domu, ściągają drabinę.

Przelatując nisko nad Filipinami, widziałam pola zasiane ryżem, drzewka kawowe, trzcinę cukrową, bawełnę, całe lasy zarosłe bambusami, gaje palmy kokosowej. Widziałam też wozy ciągnięte przez woły, ale odmienne od naszych, a nazywane bizonami.

Anglik powiedział mi, że mieszkańcy Filipin trudnią się również połowem pereł i koralu.

Lecimy dalej. Przelatujemy nad zatoką Karpentarią, a teraz zaczyna się już ląd stały.

— Gdzie pan ma zamiar pozostać? — zapytałam Anglika.

— Aż w południowej Australji. w mieście Melbourne (czytaj Melbörn).

— Wiem, to największe miasto w Australji.

— Liczy przeszło pół miliona ludności.

— Więc przelecimy nad całą Australją.

— Do tego się zobowiązałem.

Lecieliśmy wolno, dosyć wysoko, ażeby móc objąć okiem, jak największą przestrzeń. Odniosłam wrażenie, że ląd australski jest u brzegów wyższy, a im dalej w głąb, tembardziej się zniża. Powiedziałam to Anglikowi.

— Tak i jest — odpowiedział. — Gdyby pani mogła objąć wzrokiem naraz całą Australję, ujrzałaby pani całość w rodzaju wielkiego głębokiego półmiska, z wysoko podniesionymi brzegami, a wklęsłą w środku. A to dlatego, że większa część Australji jest na wybrzeżach ctozczona

górami. Z tego też powodu, rzeki jej nie przepływają przez środek lądu, jak rzeki innych części świata.

Rzeki te, to przeważnie gwałtowne strumienie górskie, co wypływają z wierzchołków pobrzeżnych gór i po krótkim biegu wpadają w morze. — A że w Australji niema właściwego lata i zimy, tylko gwałtowne deszcze i równieź gwałtowne posuchy, przeto te strumienie raz są przepełnione wodą, która się rozlewa szeroko, to znowu



wysychają zupełnie — a wtedy usychają rośliny z gorąca i zwierzęta giną z pragnienia, ptaki spadają z drzew, stada hodowanych owiec giną także.

Inne zaś strumienie, które z gór pobrzeżnych płyną ku środkowi Australji, wpadają do jezior, które także częściowo wysychają. Teraz widzi pani z góry, tumany kurzu i pyłu czerwonego, wzbijającego się nad ziemię, — a prze-latując po deszczu, zobaczysz w tem miejscu olbrzymie jeziora.

Gdy tak patrzyłam z góry, zdziwiło mnie to, że nigdzie nie było widać ani jednej chaty, ani domu. Po gęsto zaludnionych Chinach i Japonji. pełnej ślicznych domków i ogrodów, Australia zrobiła na mnie wrażenie dzikiego pustkowia.

— Czy tu niema ludzi? — zapytałam.

— Australia wogóle jest mało zaludniona, odparł mój towarzysz — ponieważ w jej środku rosną tylko ostre trawy i jakieś kolczaste krzewy, a od czasu do czasu zalewają ją wody, więc nikt tam mieszkać nie może. Ludzie żyją głównie na wybrzeżach.

— Ale ja i na wybrzeżu wcale nie widziałam domów.

— Bo Australczycy nie budują domów. Są to plemiona koczownicze, które codzień zmieniają miejsce pobytu. Nie uprawiają ziemi, nie hodują zwierząt, więc muszą ciągle przenosić się z miejsca na miejsce, by znaleźć pożywienie.

— A koloniści?

— Koloniści, mieszkają głównie w południowo wschodniej stronie Australji, gdzie okolica jest nizinna, klimat łagodny, a rzeki nie wzbierają, ani wysychają tak gwałtownie. Tam uprawiają zboże i hodują owce, których miewają całe stada. Koloniści zajęli najurodzajniejsze okolice, a miejscową ludność, wepchnęli w najuboższe i najmniej urodzajniejsze strony.

Jakże oni żyją?

— Są to najdziksze na świecie stworzenia, skazane na zupełną zagładę. Za jakie sto lat zapewne nie będzie z nich i śladu, bo nie ostoją się wobec kolonistów, którzy przynoszą z sobą cywilizację, a zwalczając dzikich i bronią i inteligencją, wypierają ich w głąb pustynną, albo zamieniają w swoje sługi.

Dziwiłam się też, że nie spostrzegłam nigdzie koni, wozów — ani tygrysów, lub jakichkolwiek większych dzikich zwierząt. i dowiedziałam się, że zwierząt takich niema w Australji wcale.

-- I zwierzęta tu są odmienne — rzekł Anglik: głównie żyją tu kangury, nie wielkie, skaczące zwierzątka, noszące swe dzieci w workach, znajdujących się pod piersiami i brzuchem. Oposum który ma także nogi tylne znacznie

dłuższe od przednich, — dzióbaki, które choć należą do ssących. głowy mają zakończone dziobem, a między palcami u nóg rozpiętą błonę. Są też mrówkojady, co lepkiem językiem chwytają mrówki, którymi się żywią, a wszystkie te zwierzęta są małe.

Natomiast żyją tu olbrzymie węże i bardzo pięknie ubarwione ptaki, jak: papugi, liroogony, o ogonach w kształcie liry, czarne łabędzie, rozmaite rodzaje gołębi, mnóstwo jaszczurek, owadów, między którymi najgroźniejsze są mrówki termyty, co gromadami włóczą się po lasach, niszczą drzewa, zjadają skórę zwierząt i wogóle robią ogromne szkody. Kopce ich bywają wysokie na dwa, do czterech metrów.

Gdy tak rozmawialiśmy, spostrzegliśmy pierwszego człowieka. Przyłożyłam lunetę do oczu i zobaczyłam rzecz dziwną. Człowiek ten był zupełnie nagi, skórę miał szarobrunatną, a głowę porastały bujne kędzierzawe włosy. Człowiek ten wspinał się na drzewo gumowe, a ponieważ kora tego drzewa jest zupełnie gładka, więc noga nie mogła nigdzie znaleźć oparcia. Ale to nie zrażało Australczyka. Włócznie wziął w zęby, lewą ręką ujął kamienną siekierkę i naciął nią korę, wyżej naciął znowu mały otwór w korze prawą ręką, i znowu lewą i tak wciąż nacinał wyżej. Nacięcia były tak małe, że zaledwie mógł w nie wsunąć wielkie palce nóg, ale to mu wystarczyło. Nacinając coraz to wyżej korę i wkładając palce to lewej, to prawej nogi, wdrapywał się coraz wyżej w górę. Na szczycie drzewa było gniazdo papugi, w którym była matka i małe, matka nie odlatywała, nie chcąc opuścić dzieci,, a człowiek doszedłszy do szczytu, wyjął z zębów włócznie, przebił nią ptaka, zrzucił gniazdo z małymi, narzucił na czubek drzewa sznur z włókien, którym był opasany i po sznurze spuścił się na dół.

— Oto widziała pani, jak zręczni są Australczycy — rzekł Anglik. Ale skoro jest jeden, to gdzieś niedaleko musi być całe jego plemię.

Jakoż wnet ujrzelśmy może z trzydzieścioro ludzi. Wszyscy szli w jednym kierunku. Mężczyzni nieśli na ra-

mionach włócznie, przed sobą zaś tarcze drewniane, obite skórą i miecze z twardego drzewa.

Szły i kobiety, objuczone wprost ciężarami. Prawie każda miała bardzo porządnie wypleciony koszyk na plecach, a w nim siedziało małe dziecko. Niektóre niosły jeszcze drugiego malca na rękę, nadto na ramionach ich wisiały koszyki, to napełnione wodą, to innymi zapasami



i wszystkie uginały się pod ciężarem o wiele przewyższającym ich siły. Chłopcy nieśli tlejące kawałki drzewa, dziewczynki biegły obok matek, pomagając im dźwigać ciężary, albo zabawiając się ze sobą.

Jeszcze było jasno, ale słońce już chyliło się ku zachodowi.

Lecieliśmy zwolna, zataczając koła i przypatrując się z góry Australczykom. Oni weszli na jakąś wolniejszą przestrzeń, i widocznie postanowili tam się zatrzymać. Męż-

czyzni rzucili włócznie i tarcze, kobiety uwolniły się od ciężarów, koszyki z dziećmi zawiesiły na gałęziach lub postawiły na ziemi, a same, nie odpocząwszy nawet, zaczęły się krzątać koło gospodarstwa.

Chłopcy zbierali chrust, gałęzie, rozdmuchiwali przyniesione jarzące patyki i korę, i rozkładali ognisko.

Mężczyzni leżeli, nic nie robiąc, a napędzając do pracy żony, córki, chłopców.

Jeden z mężczyzn zaświstał ostro. Na wezwanie to, odezwały się rozmaite głosy naśladujące, to papugi, to inne ptaki. On wzywał tych, którzy polując po drodze, oddalili się od gromady, oni odpowiadali. On od czasu do czasu wciąż nawoływał — ich głosy zbliżały się coraz bardziej. Aż zeszli się wszyscy, a każdy przychodzący coś przyrzucił do wspólnej biesiady, to borsuka, to wiewiórkę, lub inne jakieś zwierzę.

— Dobry mają wieczór — rzekł nasz towarzysz — rzadko kiedy uda się tak polowanie. Teraz będą palili ognie, będą jedli dokąd nie zjedzą wszystkiego, a potem ruszą po nowe zdobycze. A i nam czas poszukać jakiej osady europejskiej, albo amerykańskiej i przespać się trochę wygodniej, niż będą spać ci dzicy Australczycy.

To mówiąc wyciągnął mapkę, popatrzył uważnie i wskazał lotnikowi kierunek w którym ma dalej sterować.

Niebawem ujrzeliśmy osadę ludzką. Był tam i dom dla ludzi, i szereg szop dla bydła. i studnia i kawał ziemi uprawnej.

Gdy mieszkańcy tej osady usłyszeli furkot samolotu, powychodzili z domu, z szop i patrzyli w górę, powiewając gałęzmi i białymi chustami, jakby w ten sposób zapraszając nas do siebie.

Byli to angielscy osadnicy. A że mój brat mówił dobrze po angielsku, a i ja rozumiałam i mówiłam o tyle, że można mnie było zrozumieć, spędziliśmy z gospodarzami wcale przyjemny wieczór.

Gospodyni wprowadziła każdego z nas. do innej izdebki drewnianego domu, a dziewczyna miejscowa może dwunastoletnia, podała nam wodę w miednicy, czysty rę-

cznik, i zaścieliła czystą bielizną łóżka. I ona rozumiała, a nawet wcale dobrze mówiła po angielsku.

Gdyśmy się umyli i oczyścili, zaproszono nas na wieczerzę. W jadalnej izbie, sprzęty były proste, ale czyste — stół nakryty czystym obrusem i zastawiony niewymyślnym, ale błyszczącym od czystości naczyniem.

Gospodarz domu był mężczyzną może sześćdziesięcioletnim; gospodyni przedstawiła nam swoje dzieci, dwóch synów, trzy córki, z których dwie były już zamężne, zięcia i troje wnucząt.

Podczas wieczerzy dowiedzieliśmy się, że państwo Smithsowie, przybyli do Australji, przed trzydziestu pięciu laty, jako całkiem młodzi ludzie, wtedy, kiedy rozeszła się po Anglji wieść, że w rzekach Australji znajduje się złoto.

Ale wnet spostrzegli, że lepiej hodować owce, aniżeli mozolnie z wielkim trudem wydobywać złoto, z nie bardzo złotodajnych strumieni.

— Ale podobnoś podczas posuchy, często giną całe stada zwierząt — powiedział mój brat.

— Tak było. Ale obecnie każdy kolonista kopie tak głębokie studnie, że nie brak w nich nigdy wody, a że uprawiamy ziemię, to wraze posuchy nie braknie też i żywności. Hodowla owiec opłaca się wcale dobrze. Nasze stado wynosi przeszło dwa tysiące owiec, których mięso, skóra, wełna i żywi i odziewa nas, a ze sprzedaży mamy wcale przyzwoite dochody.

— A nie napadają na wasze osiedla, dzicy Australczycy?

— Obecnie jesteśmy w dobrych stosunkach z nimi. Gdy przybyli pierwsi koloniści, przed laty stu, stosunki były gorsze — koloniści ci byli to głównie zbrodniarze skazani na karę śmierci, lub długoletnie więzienie, obchodzili się oni bardzo źle z Australczykami; za porwanie jakiegoś zwierzęcia, lub innej rzeczy, strzelali, zabijali ich, tamci nawzajem posyłali im zatrute strzały, lub palili osady. Osadnicy, posiadający broń, i inteligentniejsi od dzikich tubylców, wypierali ich w okolice puste, nieurodzajne.

Głód i nędza niszczy i tępi tubylców. Jest ich coraz

mniej, podobnoś w całej Australji, jest już ich ledwie około 30.000 tysięcy. A i z tych wielu żyło się z nami. Misjonarze uczą ich religji chrześcijańskiej, prac w polu.

Niektórzy tubylcy przyjmują służbę u Anglików, są kelnerami w restauracjach, kucharzami.

— A i tu w domu, widziałem dziewczynkę australską — wtraciłam.

— Dziewczynka ta jest już u nas od lat kilku i tak się do nas przywiązała, że za nic nie wróciłaby do swoich.

Bo ojciec uratował ją od śmierci — powiedziała jedna z córek państwa Smith.

— A to w jaki sposób?

— Razu pewnego, ojciec napotkał rodzinę australską, złożoną z ojca, matki, chłopca i małej dziewczynki. Gdy nadszedł niepostrzeżony przez nikogo, zobaczył, że ojciec podniósł siekiere kamienną, i chciał nią zabić dziewczynkę. Nasz ojciec, zagroził Australczykowi kulą, odebrał dziecko, a za to podarował mu owcę.

— Dlaczegoż ten Australczyk, chciał zabić własne dziecko?

— Ludzie ci w czasie wielkiej posuchy, albo w porze deszczowej, nie mogąc upolować zwierzyny, zabijali dzieci i zjadali je.

— Okropne! zawołałam.

— Ale zwyczaj ten, już prawie nieistnieje. Rząd angielski surowo karze takie przestępstwo, misjonarze pouczają dzikich, i tak powoli wyćpiają to zło. Dziś już zmuszeni głodem Australcy, zgłaszają się do białych na służbę, a dostając poddostatkiem pożywienia, coraz częściej opuszczają lasy i zostają z nami.

Przypomniałam sobie wesołe, swobodne, zawsze uśmiechnięte dzieci japońskie i powiedziałam:

— To los dzieci australskich jest pożałowania godny.

— Los dzieci i kobiet australskich jest rzeczywiście nie do pozazdroszczenia — odpowiedziano mi.

W ciągu wieczora dowiedziałam się, że Australcy żyją małymi gromadkami, liczącemi co najwyżej po trzydziestu do czterdziestu ludzi. Taka mała gromadka, używa

jednego znaku, który im czarodziej tatuuje, to jest wycina na skórze i zapuszcza czerwoną lub żółtą farbą. Znaki te, to jaszczurki, węże, ptaki, lub coś podobnego.

Każde takie pokolenie, wybiera sobie przestrzeń do polowania, a drugiemu wkroczyć tam nie wolno. Jeżeli dwa pokolenia chcą się porozumieć, to wysyłają do siebie swojego człowieka, z gałązką zieloną i rzeźbionym drażkiem.

Pokolenia te, prawie nigdy nie spędzają kilka dni na jednym miejscu, lecz ciągle krążą po okolicy swej, polując, lub szukając w lesie dzikiego ryżu, nasienia arankarji, palm kokosowych, sagowych, owadów.

Mężczyźni polują, kobiety służą im, nosząc oprócz dzieci na plecach, cały dobytek mężów, t. j. jego broń, koszyki, zapasy, futra. Własność plemienia jest wspólna. Kto zdobędzie pożywienie, dzieli je z wszystkimi.

Gdy przybędą na miejsce spoczynku, rozniecają ognisko, które krzeszą, trąc kawałki drzewa jedno o drugie, a są tacy, co i tego nie umieją i noszą ze sobą tlejące drzewa, lub korę i nimi rozniecają ogień.

Mężczyźni obsiadają ogniska, kobietom nie wolno spocząć, choćby niewiem jak były zmęczone. Jeżeli mężczyźni w ciągu dnia nie upolowali dostatecznej ilości zwierząt, wtedy kobiety muszą iść w las, na poszukiwanie dzikiego ryżu, owadów, jaszczurek, ptasich gniazd. A gdy wrócą, muszą przypiekać te przysmaki dla mężczyzn, i dopiero tem, co oni zostawia wolno im się pożywić. Biedne te stworzenia, są zawsze zmęczone i zawsze głodne.

Jeżeli urodzi się w pokoleniu chłopak, mężczyźni wydają okrzyki radości, jeżeli urodzi się dziewczynka, milczą. Jeżeli matka utraci dziecko, to na znak żałoby, odcina sobie kawałeczek palca.

Dzieci dokąd małe mają najzupełniejszą swobodę, a nawet ojcowie obchodzą się z niemi łagodnie, dziewczynki biegają za matkami i chętnie im pomagają w pracy, chociaż nikt im tego nie nakazuje.

Wykształceniem synów, zajmują się ojcowie. Uczą chłopców strzelać z łuku, walczyć drewnianą szablą, wspinać się na drzewa, rzucać bumerangiem, a przedewszyst-

kiem zdobywać pożywienie, co jest głównym celem Australczyków.

— Słyszałam coś o bumerangu — powiedziałam — ale nie wiem dobrze, jaka to broń?

Mój sąsiad wstał, przyniósł kawałek drewna zgiętego mniej więcej, tak jak rogalik, pokazał go i powiedział:

— Australczycy umieją nim rzucać tak, że doleci do



miejsca w które celują, uderzy silnie i wróci tam, skąd go wyrzucono.

— A, to wielka zręczność.

— Tak, Australczycy są wyjątkowo zręczni — odpowiedział pan Smith, umieją nadzwyczajnie wspinać się po drzewach, wyplatają doskonale koszyki na dzieci i na wodę.

— Na wodę? powtórzyłam zdziwiona.

— I to tak dobrze, że ani kropla nie wycieknie. Mają

nadzwyczajny wzrok, węch i słuch. Węchem rozpoznają jakie zwierzę, jaki człowiek przechodził przez las.

— A czy uczą się łatwo?

— Jak czego: Naprzykład mają wielkie zdolności do języków, ale prawie żadnych do matematyki, nazwy na liczby dochodzą u nich tylko do trzech, a jednak język ich nie jest wcale ubogi i lubują się w wymowie.

— Ale wracając do dzieci i młodzieży australskiej, mówił pan Smith dalej, to nauka chłopca jest ciężką pracą, nie łatwo mu przychodzi zdobycie zręczności, jaką musi posiadać dorosły mężczyzna.

— A więc nasamprzód ojcowie uczą synów wyszukiwać śladów wszystkich zwierząt, wypatrywać gniazd ptasich, unikać napaści, kryć się przed wrogami i podchodzić takowych.

Gdy chłopak już dorasta, każą mu przynieść mrówcze ciasto z lasu.

— Nie słyszałam nigdy o mrówczym cieście.

— Mrówcze ciasto zdobywa się w ten sposób, że znalazłszy mrowisko termitów, chłopak zapala w pobliżu gałązki, temi gałązkami płonącymi, otacza mrowisko i wciąż szybko dorzuca do tego płonącego wieńca nowe gałązki, niedozwalając w ten sposób mrówkom uciec.

Gdy już ogień dobrze obejmie całe mrowisko, wtedy narzuca je ziemią. Gdy ogień zgaśnie i wytleje, wydobywa z pod ziemi zbitą masę spieczonych poczwerek, co uchodzi u nich za przysmak.

— Czegóż więcej musi się nauczyć młodzieniec australski? zapytałam.

— Potem musi sam zabić jadowitego węża czarnego, albo dusiciela jutrzynę i przynieść go pokoleniu na żywienie. W końcu wyrzucają go na dni kilka, a nawet kilkanaście do lasu, gdzie sam musi sobie radzić. Wiele słabszych chłopców, ginie na takiej próbie, ale gdy wróci a jeszcze przyniesie zdobycz, wtedy bywa uznany za dorosłego mężczyznę.

— A dziewczęta? zapytałam.

— O, tych dola jest jeszcze cięższa.

— Jeżeli z braku żywności mają kogo poświęcić, to

zawsze dziewczynkę. Gdy dziewczynka troszkę podrośnie, pomaga matce dźwigać młodsze rodzeństwo, ciężary, szukać pożywienia. Dwunastoletnią dziewczynkę, uważają za dorosłą, i oddają już w zameście.

Mąż kupuje ją od ojca za pewną ilość siekier, tarcz, włóczni, skór. Kto silniejszy, zręczniejszy, wyrobi więcej narzędzi, upoluje więcej zwierząt, ten może kupić więcej żon i żyć wygodniej.

Młodzieńcy zdobywają najczęściej żony wykradając dziewczęta innym plemionom, za co potem toczą się walki. Gdy dziewczyna dorośnie, tatuują ją także i nacinają jej skórę w rozmaite desenie i napuszczają rany farbą. Dorosła dziewczyna dostaje też paciorki, fryzuje wysoko kędzierzawą czuprynę i rozpoczyna ciężkie życie żony, którą wolno mężczyźnie wybić, wypędzić, wyrzucić.

— Straszne to rzeczy — pomyślałam. I zrozumiałam, dlaczego brat mój, nie miał zamiaru lecieć ze mną do Australji.

Już mieliśmy się rozejść na noc, gdy pan Smith ojciec, którego przed chwilą wywołano, wszedł do jadalni i powiedział:

— Udało mi się na jutro zyskać dla państwa pozwolenie przypatrzenia się uroczystości, jaka się w tej okolicy jutro odbędzie.

— Jakże się to panu udało? zapytał towarzyszący nam Anglik.

— Żyję w przyjaznych stosunkach z pokoleniem ozdobionem znakiem jaszczurki, są to najbliżsi moi sąsiedzi. Od czasu do czasu obdarzam ich owcą, czem wykupuję się od napadu na moje stada, a oni za to wzięli mnie w opiekę i niedozwalają żadnemu pokoleniu krzywdzić nas. Jeżeli kto z innego pokolenia zrobiłby mi jaką szkodę, naraziłby się na ich zemstę.

Otóż był u mnie dziś jeden z silniejszych mężczyzn tego pokolenia, bo chciał odemnie dostać coś do ozdoby na jutrzejszą uroczystość. Dałem mu stary kapelusz, jedną skarpetkę, parę pantofli, kawałek czerwonej bawełnianej materji, w których to rzeczach jutro wystąpi — i obiecałem po dwie owce dla dwóch pokoleń, jeżeli po-

zwolał nam przypatrzeć się jutro mającemu się odbyć tu w pobliżu korobiri.

— Korobiri? cóż to takiego? zapytaliśmy.

— Jestto właśnie uroczystość, podczas której, uznaje się dojrzałość młodzieńców.

Bardzo rada, że zobaczę z bliska dzikich Australczyków, pożegnałam rodzinę państwa Smithów do dnia jutrzejszego.

Nazajutrz rano, razem z panem Smithem, jego synem i zięciem wyruszyliśmy konno z domu. Przejeżdżając przez las często spotykaliśmy dzikich, dążących w jedną stronę.

Niektórzy z nich czyniąc przygotowania do uroczystości, malowali sobie piersi, nogi, ręce, czerwoną ochrą i żółtą gliną, inni nacierali i tak już ciemną skórę potłuczonym węglem, inni jeszcze sterczące w koło głowy włosy nacierali woskiem i piętrzyli jeszcze wyżej, a wszyscy starali się nadać sobie jak najstraszliwszy wygląd. Obok mężczyzn szły kobiety także pomalowane, choć nie tak wspaniale.

Dotarliśmy do polany, która była punktem zbornym dzisiejszej uroczystości. Leżały tu już rozmaite upolowane zwierzęta, jak wiewiórki, torbacze, borsuki, węże. Sporo Australczyków czekało na tych, co wciąż jeszcze przybywali.

Stanęliśmy na uboczu.

Naraz wyszedł starzec z długą, siwą brodą i zawył przeraźliwie, było to hasło do rozpoczęcia walki. Z tej i tamtej strony, z jednego i drugiego pokolenia, wystąpiło po kilku ludzi, a krzycząc, wrzeszcząc, tańcząc, wpadali na siebie i staczali pojedynki, ale nie były to walki prawdziwe. Jeżeli kto został obalony, wnet kobiety z jego pokolenia przypadały do niego, osłaniały go i błagały zwycięzcę o litość. Długo trwały te walki, którym towarzyszyło bicie w bęben, bo Australczycy nie mają żadnych innych instrumentów muzycznych. Gdy zapaśnicy popadali zmęczeniu, kobiety rozpały ogień i piekły zniesioną zwierzynę, a starzec, który dał hasło do boju wystąpił i wezwał kilku młodzieńców, którzy nie brali udziału w walce. Starzec ten był to czarodziej pokolenia. Australczycy nie wyznają

wprawdzie żadnej religji, ale boją się złych duchów, którzy zaklinają czarodzieje.

Wezwani przez czarodzieja młodzieńcy, którzy odbyli już poprzednio przepisane próby, wystąpili na środek polany. Czarodziej zręcznie zapomocą siekierki kamiennej ponacinał na ich piersi znaki pokolenia, nacięcia te napuścił farbą, a potem powybił im po dwa zęby w górnej szczęce. Tak odznaczeni młodzieńcy — uznani byli za dojrzałych mężczyzn i mieli prawo pojąć żony.

Potem wystąpiły z obydwóch pokoleń drobne i wątłe dziewczęta dwunastoletnie.

I ich ciała naznaczył czarodziej siekierką, zapuścił w nacięcia żółtą i czerwoną farbę i im wybił po dwa zęby, tak i one zostały uznane za dorosłe kobiety, którym wolno było zostać żonami tych, którzy je kupią od ojców.

Teraz zaczęła się wspólna uczta, tańce, a my wróciliśmy do zagrody państwa Smithów.

Nazajutrz pożegnaliśmy gospodarzy i Anglika i ruszyliśmy w dalszą podróż.

W kraju dziwów i czarów

Bez żalu opuściłam Australję i jej dzikich mieszkańców, a usadowiwszy się w samolocie powiedziałam do brata:

— Za nic nie chciałabym żyć w tej części świata, chociażby płynęło w jej wodach niewiem, jak wiele złota.

— Za to teraz zobaczymy, świat najbujniejszy, najbogatszy w cuda przyrody, prawdziwy raj wszelakiej obfitości — odpowiedział mi brat.

Samolot nasz zwrócił się na zachód. Lecieliśmy do Indji. Od dziecka nasłuchiłam się opowiadań o czarownikach, co umieją zaklinać węże, o fakirach*), co zakopani w ziemię umieją tak żyć miesiącami, o najwyższych, najpotężniejszych w świecie górach Himalajach, o Gangesie rzece „świętej“ dla Indjan, o pielgrzymach, co porzucają największe dostatki, idą w gaje, lasy i tam trawia życie na rozmyślaniach, modlitwie — i ledwie wierzyć chciałam, że ja kraj ten zobaczę na prawdę.

Miedzy Australją a Indjami ocean znowu jest zasiany wyspami, a wyspy noszą nazwę wysp Sundajskich.

Największe z nich to Sumatra, Celebes i Jawa. Wyspy te całą kulę ziemską zaopatrują w tak zwane korzenie. Bo tam to rośnie pieprz i mnóstwo innych wonnych roślin, służących do zaprawy pokarmów.

Pilot zniżył lot i obaczyłam roślinność tak bujną a tak rozmaitą o jakiej nie miałam pojęcia.

Ziemia lekko pagórkowata, tu i tam widać źródła z których bucha para — to źródła gorące, przeważnie siarkowe. Grunt jest tu wulkaniczny, bardzo urodzajny, klimat gorący, ale łagodzony oparami morza, mnóstwo strumieni przepływających wyspy, wszystko złożyło się

*) fakirzy, fanatycy religijni.

na to, że każde ziarno, co wpadnie w ziemię, przyjmuje się, rośnie szybko, buja i wydaje bogaty plon.

Bo i czego tam niema?

W okolicach najniżej położonych, całe łąny rozmaitych gatunków ryżu, trzciny cukrowej, kawy, herbaty, na pagórkach rosną liczne gatunki palm, figi, drzewa cynamonowe, kamforowe, muszkatolowe, gwoźdźkowe, terpentynowe, gumowe i mnóstwo, mnóstwo innych.

Niektóre gatunki palm płożą się po ziemi, przerzucają się na inne drzewa, i tak się płaczą, że lasu nie można przejść bez siekiery. Drzewa obwieszane najdrodziejnymi owocami: daktylami, bananami, figami, pomarańczami; widzieliśmy całe gaje jabłoni, gruszek, aż chętką zbierała zatrzymać się i zabrać ze sobą trochę tych doskonałości.

Pod drzewami, w lasach, na polankach, rosną znów przepyszne kwiaty, olbrzymie storczyki, a wszystkie te rośliny wydają wprost odurzającą woń.

A wśród tej bogatej, przerozmaitej roślinności. bujają na drzewach małpy, latają barwne ptaki, to świetnie opierzone papugi, to całe stada dzikich gołębi, a po ziemi skaczą rozmaite cudackie zwierzątka, jak świnki morskie, a między niemi poważnie przechadzają się dzikie pawie i dzikie kury, od których pochodzi nasz drób domowy.

Zaś w gęstych lasach snują się największe ssaki: słonie, bizuny, na zdobycz czyhają krwiożercze tygrysy, lamparty, i inne drapieżce.

Nie brak też jaszczurek, żółwi, i ogromnych węży, co zabijają jadem, albo strasznym uściskiem.

Są nawet rośliny mięsożerne, jak dzbanecznik, którego kwiaty podobne do dzbanuszków wabia w swe wnętrza owady, a gdy który na nich usiedzie, to kwiat go dusi i wysysa zeń soki żywotne.

Słowem świat bujny, wspaniały.

— Warto by tu zejść i przypatrzeć się temu z bliska — powiedziałam.

— Jeślibyśmy tak wszędzie chcieli stawać, — odparł brat, — to nie trzech miesięcy, ale i trzech lat byłoby za.

mało. Zatrzymamy się dopiero w Indjach, a tam będziesz miała dużo więcej do widzenia.

Usunęłam się więc w głąb samolotu, a chociaż przyknęłam oczy, zdawało mi się, że jeszcze wciąż widzę te dziwy.

Nazajutrz rano, brat obudził mnie temi słowy.

— Zbudź się mała, dolatujemy do Indji.

Zerwałam się szybko, przemyłam oczy, i stanęłam. Docieraliśmy do lądu.

Morza już nie widziałam przed sobą, tylko olbrzymią, szeroką rzekę, była to święta rzeka Hindusów, Ganges. Nad nią rozrzucone pola, łąki, gaje, śliczne palmy czasem gromadnie, czasem pojedynczo rosnące obok chat bardzo prostych, ledwo skleconych, pokrytych zeszlými liśćmi palmowymi.

Lecimy dalej i nadlatujemy nad bardzo wielkie miasto — to Kalkuta.

Co za dziwne miasto, — na pół europejskie, a na pół indyjskie, bo tu rozgospodarowali się zdobywcy, Anglicy. A więc są kościoły chrześcijańskie, są i świątynie indyjskie, są uniwersytety angielskie i indyjski uniwersytet sankrycki (staroindyjski), są muzea, arsenał, mnóstwo domków i domów wysokich urzędników angielskich i bogatych Indjan, czyli Hindusów. Domy niewysokie z płaskimi dachami, na których mieszkańcy spędzają wieczory, domy te otoczone są ogrodami.

Na ulicach gwar, ruch, moc pojazdów. Jeżdżą i powozy zaprzężone końmi, i tramwaje i samochody, i riksze japońskie, ciągnięte przez chińskich kulisów. Tu znowu, jakiś widocznie wielki pan Indyjski jedzie na słoniu, nad nim służący trzyma parasol chroniący go od promieni, dokoła otacza go liczna służba.

Do rzeki idzie mnóstwo ludzi, idzie też chłopczyk prawie nagi i starsza dziewczynka ubrana w lekkie muśliny z naczyniem na głowie. Wierni Indjanie dążą do świętej rzeki, której wody oczyszczają nie tylko z brudu ciała, ale i duszę wierzącego. Nie dziw, że Ganges uważany jest w Indjach za rzekę świętą, bo którądy przepłyną wody



jego, lub jego dopływów, tam porasta bujna roślinność, co żywi, chroni, odziewa Hindusów.

Brat mój, będąc w Paryżu poznał tam pewnego młodego Hindusa, który kształcił się w kilku uniwersytetach europejskich, a ukończywszy przed rokiem nauki, wrócił do ojczyzny. Wyjeżdżając dał bratu adres, mieszkał w Kalkucie. Hindus ten dowiedziawszy się, że jesteśmy w Indjach, przyszedł do nas i ofiarował swoje usługi.

Pokazał nam dom, bogatego Hindusa, który był właśnie w podróży. Dom ten stał w pięknym ogrodzie, oddzielonym od ulicy wysokim murem — z trzech stron były werandy, a na płaskim dachu było też mnóstwo kwiatów, tu w pogodne wieczory siadali mieszkańcy domu, chłodząc się wachlarzami palmowymi i patrząc w niebo, zasiane gwiazdami. Przed domem była sadzawka z wodotryskiem, w pokojach pełno prześlicznych tkanin, zasłon, dywanów, które zaścielały podłogi i niskie sofy, stolików bardzo mało, dywany i broń wisiały na ścianach.

W sypialni pana domu stało niskie łóże, oparte na metalowych łapach tygrysa, łóże przykryte było bogatym dywanem. W pięknych dzbanach i innych naczyniach stały kwiaty. Całe mieszkanie uderzało przepychem, bogactwem.

W dalszych częściach domu były mieszkania kobiet, które jak na całym Wschodzie mieszkają oddzielnie i nie jadają z mężczyznami.

Bogate panie, pomimo że mają służbę, same zwykle ścielą łóża mężów i gotują im ulubione przez nich potrawy.

Dawniej, kobiety hinduskie, nie wychodziły prawie z domu. Dziś pod wpływem Anglików dużo się zmieniło, a wiele Hindusek kształci się i stara się wydobyć kobiety z tej zależności.

Niedługo zatrzymaliśmy się w Kalkucie, w tej dziwnej indyjsko-angielskiej stolicy. Chciałam koniecznie poznać jakie starożytne miasto hinduskie, które zachowało wszystkie starodawne cechy, bez wpływów angielskich.

— W takim razie — rzekł hinduski kolega brata — pojedziemy do Benares, do najciekawszego może miasta

w Indjach Przedgangesowych. Miasto to nazywają też miastem braminów, bo jest ono ich główną siedzibą. Pani wie zapewne, że braminami nazywają się kapłani indyjscy, a nazwę tę uzyskali, od twórcy pierwotnej religii indyjskiej Bramy.

— Wiem — odpowiedziałam — i wiem, że religję braminów zreformował potem mędrzec Budda uznany za boga. A gdzie leży Benares?

— W samem sercu Indostanu, na lewym brzegu Gangesu. Zatem wybierzemy się tam jutro, ale nie samolotem, aby jak najmniej uwagi zwracać na siebie.

Gdy nazajutrz dojeżdżaliśmy do Benares, już z daleka uderzył mnie wspaniały widok złożonych kopuł i strzelistych wieżyczek licznych świątyń. Ale wspaniałe to wrażenie prysło, gdy weszliśmy do miasta wąską ponurą uliczką, w której ludzie niosący ciężary, ledwie wyminąć się mogli.

Tuż nad Gangesem wznoszą się wysokie, trzy i pięciopiętrowe domy, pomalowane jaskrawo — malowidła te przedstawiają ludzi, bogów, boginie, byki, słonie — wszystko to dziwnie splecione.

— W tych domach mieszkają przeważnie bramini, żyjący z ofiar pobożnych pielgrzymów. Miasto liczy około ćwierć miliona mieszkańców, ale zwykle jest tu znacznie więcej ludzi, bo pielgrzymi z całych Indyj ściągają się tu oddawać cześć bogom i świętej rzece.

Patrzę, a tu naprzeciw mnie środkiem wąskiej ulicy idzie ogromny byk, chcę się usunąć z drogi, a tam leży drugi rozciągnięty w poprzek. Przerazona, chcę się cofnąć i uciec, ale nasz towarzysz śmieje się i powiada:

— Niech się pani nie lęka, te zwierzęta nic złego nikomu nie robią, są to ulaskawione byki boga Shiwy, którym zabobonny lud cześć oddaje. Widzi pani, tam dalej kłęczą młodzieńcy, i wieńczą leżącego leniwie byka wieńcami kwiatów. A gdyby kto odważył się uderzyć którego, to pospólstwo rozdarłoby go z pewnością w kawałki.

Ominawszy byki poszliśmy dalej. Tu znowu przeraziłam się widokiem małp, które wrzeszcząc i skacząc z okna w okno, z kamienicy na kamienicę, zbiegały na bal-

kony, wydzierały dzieciom z ust placki i owoce. — To znowu były święte małpy.

Na ulicach porozstawiane były kramy, za którymi napół nadzy, rozczochrani fakirzy wrzeszczeli z całych sił.

Ulice zalegali też nędzarze, kaleki, a nawet trędowaci, którym pobożni rzucali jałmużnę. Ale co najwięcej mnie przeraziło, to jacyś szaleńcy religijni, którzy stoją nad świętą rzeką w najdziwniejszych postawach, to z rękami wyciągniętymi poziomo, to wzniesionymi w górę, inni stali na deskach nabitych gwoździami — a stoją tak całymi latami, odżywiani od czasu do czasu przez miłosiernych pątników mlekiem kokosowem, lub innym płynem. Dobrowolne te męczarnie ludzie ci zadają sobie dlatego, ażeby pozbyć się wszelkich radości i potrzeb cielesnych i przejść w życie pozagrobowe, ażeby duch ich powrócił do Buddy.

Odwróciłam się od tego widoku, spojrzałam na rzekę w której kąpali się pobożni, a niektórzy z nich nawet tonęli w religijnym szale.

Ówdzie znowu gromadka ludzi otoczyła zaklinaczy węzów, stanęliśmy i my. Było ich czterech. Mieli na sobie pstre suknie, na głowach turbany, jeden z nich miał wpięte w turban trzy pawie pióra, był to właściwy zaklinacz, tamci mieli zarzucone na plecach worki, a w rękę płaskie, szczelnie plecione, zamknięte koszyki, flety i bębenki. Dokoła otoczono ich zwartem kołem. Oni wyjmowali z worków przeróżne amulety, naszyjniki, które miały strzec od złych duchów i sprzedawali zebranym, a w końcu usiedli, koszyki położyli między sobą, zaklinacz ozdobiony pawimi piórami, zaczął grać jakąś smętną monotonną melodię. A trzech inni zdjęli z koszyków nakrywki i jeden zaczął grać na klarncie, a drugi uderzał lekko w takt na bębenu.

Węże leżały z początku cicho, potem zaczęły podnosić głowy coraz wyżej, rozpostarły szeroko szyje i wściekłym wprost wzrokiem wpatrywały się w swych poskromicieli, jakby chciały się rzucić na nich. Ci wbili w nich wzrok sztywny, nieruchomy, nie przestając grać ani na chwilę. Węże, które z początku robiły wrażenie,

że chcą się rzucić na ludzi, powoli zaczęły się uspokajać jakby omdlewać, obniżały się, aż zapadły w koszyki, jakby uśpione. Wtedy poskramiacze nakryli je pokrywkami i zamknęli.

Zagladaliśmy jeszcze do świątyń przepelnionych pobożnymi, po podwórzach świątyń przechodziły się swobodnie byki boga Shiwy.

Zmęczyło mnie bardzo oglądanie tych rzeczy dziwnych, więc powiedziałam do naszego towarzysza:



Ażeby trochę odetchnąć potem co widzieliśmy w Benare, jutro pojedźmy choć z daleka zobaczyć Himalaje.

— Dobrze — rzekł Hindus — podróż tę odbędziemy samolotem, z wysoka oko obejmuje świat szerszy, a naprawdę jest co widzieć. Tego co tam pani zobaczy, nie spotka pani nigdzie na całej kuli ziemskiej. Wasze Tatry, nawet Alpy są drobiazgiem wobec Himalajów.

I rzeczywiście, gdy samolot nasz zbliżył się ku Himalajom, na tle szafirowego nieba zjawiała się przed nami olbrzymia masa potężnych szczytów wiecznym pokryta śniegiem, który dziwnie odbijał od szafiru niebios i zieleni niższych gór i podnóży.

Od szczytów lodowców pędziły ogromne, rwące potoki, porywające z sobą granitowe zwały, które toczyły się z hukiem po żlebach. Wśród tych skał biły tu i ówdzie w górę gorące źródła, rozlewając się w jeziora. Stąd też wypłynęło i źródło świętego Gangesu, do którego dążą pobożni pielgrzymi.

A pod tymi szczytami im niżej, tem coraz inna, a zawsze bogata rozwijała się roślinność. Więc najwyżej mnóstwo drzew szpilkowych, z pomiędzy których wyróżniały się olbrzymie cedry, dalej łąki, zboża, takie jak u nas, jęczmień, pszenica, tylko bujniejsze, choć rosną dziko. A niżej jeszcze całe gaje drzew owocowych, także dziko rosnących, a jednak wybornych w smaku — a więc jabłonie, grusze, gaje brzoskwiniowe, morelowe, śliwy, orzechy, a na pochyłościach, obok chat góralskich agrest, maliny, poziomki...

Zdumiona, zachwycona, stałam w samolocie, który posuwał się wolno, abyśmy dłużej mogli podziwiać ten świat cudowny.

— Choć jeden dzień przeżyć bym tu chciała! — szepnęłam oczarowana.

— Pragnienie to łatwo spełnić — rzekł Hindus. — Wyładujemy w pobliżu jakiejś góralskiej chaty, z pewnością nie odmówią nam gościny.

Jakoż zlecieliśmy niżej, tam gdzie już rosły palmy i skąd jeszcze nie straciliśmy z oczu cudownych widoków.

W chacie była tylko jedna Hinduska i dwoje dzieci. Mąż wyszedł gdzieś na pielgrzymkę pobożną. Nasz towarzysz porozmawiał z gospodynią, a ona uśmiechnięta, uprzejmie dała ręką znak zapraszający, i wnet pod palmą kokosową rozesłała matę na której usiedliśmy.

Niebawem wyniosła z chaty kubki i miseczki brunatne, lśniące, gładkie. W kubkach podała płyn podobny do orszady i wino — a potem wybornego smaku jarzynę, po jarzynie przyniosła placki i wyborne ciastka, a nakoniec owoce smażone w cukrze.

— Chata ta stoi tak daleko od gajów, kobieta jest sama jedna, kiedy ma czas sprowadzić tyle żywności? — zapytałam.

— Ona jej nie sprowadza, wszystko co nam podała i na czem podała dostarczyła jej jedna z tych palm kokosowych, rosnących obok chaty.

To mleko, które tak mile nas ochłodziło, to płyn z nie-dojrzałego ziarna kokosowego, to wino wypłynęło z naciętych szypulek kwiatowych, z niego też wyrabiają wódkę kokosową. Ten doskonały owoc, co ma smak migdału, to ziarno dojrzałego kokosu, z kokosu też wyrabia się cukier do konfitur. Ta wyborna jarzyna, to młodociany wierzchołek drzewa. I jeszcze wiele więcej potraw można sporządzić z soku młodych pędów i owoców kokosu, a przysłowie indyjskie powiada: że licha to gospodyni, która nie umie z kokosu sporządzić stu potraw.

Wszystkie te naczynia z których piliśmy i na których jedliśmy, wyrobione są także ze skorupy orzecha kokosowego.

Nie dosyć na tem. Maty, na których siedzimy, są sporządzone z kokosowych liści; zasuw do okien, dach chaty, a nawet ubranie gospodyni i jej dzieci, utkane z włókien młodych liści, a wkońcu i chata, zbudowana z pnia palmy, z pnia tego wyrobione i sprzęty domowe.

— Czy to już wszystko? — zapytałam olśniona pożytecznością palmy kokosowej.

— A no nie, — odparł, uśmiechając się Hindus, na liściach tej palmy piszą, z szypulek liści robią drewnianka do pisania, a z sadzy rodzaj atramentu.

— To znaczy, że mając kilka palm kokosowych, które bez starań człowieka rosną i dojrzewają, można mieć wszystko, co do życia potrzebne.

— Prawie tak, — odpowiedział młodzieniec, dlatego to Hindus może porzucić swój dom, przenieść się do świętego gaju, i spędzać tam lata na rozmyślaniu.

W waszym kraju umarłby z głodu i zamarł w ciągu pierwszej zimy.

— Błogosławiony kraj — szepnęłam z uznaniem.

Dwa dni przeżyliśmy w tem cudnem miejscu. I tu dowiedziałam się, jak żyją dzieci hinduskie.

Największą dumą i skarbem rodziców jest syn. Z dziewczynki nie są zadowoleni. Matka tylko sama i to

w cichości, może się cieszyć swem maleństwem. Za to, gdy chłopak się urodzi, to radość panuje wielka. Sąsiedzi zbiegają się tłumnie, uderzają w wielkie muszle, które tam zastępują nasze dzwony, znoszą podarki złożone z błyskotek i drobnej monety. Zachwycony ojciec wciska między małe, ciemne paluszki chłopczyka kawałek złota, które ma mu przynieść szczęście i bogactwo.

Gdy dziewczynka przyjdzie na świat, nikt o niej nie myśli i nikt prócz matki nie zwraca na nią uwagi — ale za to matka tuli serdecznie swą dziecinę i oddaje ją w cichości bóstwom w opiekę; bo dzieci Hindusów mają swe osobne bóstwo opiekuńcze, które nazywa się Shastki.

Gdy dziecko ma sześć dni, rodzice i krewni składają temu bóstwu ofiary. Ono ma chronić dziecko od złych bogów i wziąć je w swoją opiekę. Wówczas to kładą obok dziecka pióro, atrament, złoto i klejnoty. Wedle ich wierzeń, bóstwo niewidzialne wchodzi i przygotowanem piórem kreśli na czole dziecka tajemnicze znaki, w nich zawarte są losy dziecka.

Chwila to bardzo uroczysta, cała rodzina oczekuje jej ze wzruszeniem.

W kilka dni, nowonarodzone dziecko obchodzi inną uroczystość zwaną „świętem dzieci“. Schodzi się z hłasem duża gromadka dzieci z patykami w rękę, a śmiejąc się i śpiewając, uderza silnie o drzwi, poza któremi śpi niemowlę. Po trzykrotnem takim uderzeniu wpadają do izby, napełniają ją gwarem, śmiechem i śpiewem. Przyjęcie złożone z ciastek, ryżu, słodyczy, kończy święto dzieci — i odtąd dziecko chowają w ciszy i spokoju przez kilka miesięcy.

Gdy dziecko skończy sześć miesięcy, strzygą mu rodzice czarne włoski, przystrajają w barwne, jedwabne sukienki i niosą w odwiedziny do krewnych i przyjaciół.

Po powrocie z tej pierwszej wycieczki, dostaje maleństwo pierwszą porcję ryżu i tem zaczyna niejako drugi okres swego życia — odtąd bawi się nagie całymi dniami w słońcu i powietrzu.

Dzieci indyjskie, chociaż są spokojne i poważne, lubią jednak bardzo zabawę, jak i wszystkie dzieci na świecie.

Ubranie ich składa się z krótkich spodeniek, kaftaniczka i lekkiej, małej czapeczki. Lekkie i proste te ubranka, dostają chłopcy, gdy już sami dobrze biegać umieją. Każdy ma prócz tego na sznurku zawieszony jakiś mały przedmiot (kawalek złota, drogi kamień, blaszkę i t. p.). Jestto amulet, który wedle wierzeń Hindusów ma oddalać od dziecka złe duchy, a przynosi mu szczęście.

Na ubranie dziewczynek zwracają matki więcej uwagi. Stroją je w jaskrawe sukienki, na które im narzucają lekkie, barwne szale. Najrozmaitsze błyskotki zdobią ich uszy, szyje, ręce i nogi, tak ustrojoną dziewczynkę widzieć liście już.

Łapankę, huśtawkę, puszczenie latawca i inne znane nam zabawy, lubią także bardzo i dzieci indyjskie. Starsi chłopcy bawią się z wielką ochotą w grę, zwaną u nich „pata“. Jestto walka, którą staczają dwie partje chłopców, stojących naprzeciw siebie.

Uzbrojeni są w krótkie, tępe miecze, którymi jednak nie wolno ranić przeciwników, nacierają na siebie tak długo, dopóki jedna ze stron walczących znużona i wyczerpana z sił nie ustąpi z placu boju. Gra ta wymaga wielkiej zręczności, uwagi i panowania nad sobą. Odbywa się ona w zupełnej ciszy, którą tylko od czasu do czasu, przerywa dźwięk mieczyków. Wrzawa powstaje zato po ukończeniu walki, a dumni zwycięzcy, głośno objawiają swą radość z wygranej.

Niedługo jednak używają chłopcy indyjscy swobody i wolności, bo już w piątym, a najdalej w szóstym roku oddają ich do szkół. W szczęśliwy ten dzień, bo tak go nazywają Hindusi, dostaje chłopak nowe ubranie. Przedtem kąpie się i składa bóstwu ofiary złożone z ryżu i owoców.

Już od najmłodszych lat uczą rodzice indyjscy swe dzieci, że kąpiel należy do ich świętych obowiązków. To też mimo, że chaty, w których żyją są ciasne, ciemne i brudne, to Hindusi są czyści, bo każdy Hinduś kąpie się raz i dwa razy na dzień.

Litery poznają dzieci w ten sposób, że kreślą je na piasku ostrym kamieniem, tak długo, dopóki nie nauczą się ich dobrze pisać i odczytywać. Potem dopiero piszą

je na liściach palmowych rylcem. Następnie otrzymują tabliczki na których ćwiczą się w pisaniu. A kiedy już ładnie piszą, dostają papier i na nim odbywa się dalsza nauka.



W szkołach siedzą dzieci najczęściej na ziemi, na macie, jak to widać na obrazku. Nauczyciel uczy rachunków. Dzieci trzymają w ręku kartki papieru, na których

napisana jest tabliczka mnożenia. Każdy wiersz tabliczki wyśpiewują dzieci, według melodji podanej przez nauczyciela, a powtarzają śpiew ten tak długo, dopóki nie nauczą się tabliczki na pamięć.

W szkole muszą się chłopcy uczyć i zachowywać grzecznie, bo karzą ich bardzo surowo, gdy są leniwi, nieposłuszni, lub nie spełniają swoich obowiązków. Żal wam będzie dzieci indyjskich, gdy wam powiem o karach, jakie je czasem spotykają.

I tak, do punktualności przyzwyczajają chłopców w następujący sposób: Pierwszy chłopak, który się spóźni, otrzymuje jedno uderzenie trzcinką, drugi dwa, a ostatni tyle, ilu jest chłopców w klasie. Takie kary, jak stanie na jednej nodze, trzymanie ciężkiej cegły w rękach do góry wzniesionych, stosują jeszcze dziś w niektórych szkołach krajowych. W szkołach rządowych, angielskich, nie wolno dzieci karać tak ostro; a również i w wielu szkołach krajowych są już dziś kary łagodniejsze.

Dziewczynki w Indjach wcale nie uczęszczały do niedawna do szkoły. Uczono je w domu czesać swe bardzo piękne włosy, pomagać matkom w gospodarstwie i trochę czytać. Naukę rachunków uważano za przedmiot im niepotrzebny i zatrudny dla nich. Wogóle nie zaprawiano dziewcząt do ciężkiej pracy, a nawet szcicie zostawiono mężczyznom. Przy nauce dziewcząt zwracano wielką uwagę na naukę religji. Już pięcioletnią dziewczynkę uczono urabiać z gliny figurki, które miały być wyobrażeniem bóstwa „Durjah“. Gdy dziecko ulepi dobrze dwie takie figurki, układa je na łóżku, przystraja bogato kwiatami i zielenią, a skrapia wodą ze świętej rzeki, bo Hindusi wierzą, że bóstwa te dadzą ich córkom dobrych mężów i synów, w zamian za cześć im oddawaną.

Dziewczynki indyjskie wychodzą za mąż bardzo wcześnie — często już w jedenastym roku życia. Matka męża bierze młodziutką synową w opiekę i uczy ją zwyczajów domu, dlatego to już małe dziewczynki proszą bogów o dobrych mężów, a rodzice ich starają się, by córki ich były dobre i wносиły szczęście w dom męża.

W jednym bardzo pięknym utworze indyjskim „Sakuntala“, przedstawioną jest mała dziewczynka tego samego imienia. Wychowuje się ona wśród cudownie pięknych ogrodów swego ojca, pełnych kwiatów. Fiołek uczy ją skromności, lilja niewinności, słonecznik miłości świata i Boga. Sakuntala przychodzi co godziny do ojca i opowiada mu, co jej kwiaty szepczą. Tak wyrosła Sakuntala i stała się najpiękniejszym kwiatem wśród ogrodów ojca, a potem męża.

Spędziwszy dwa dni w podgórskiej okolicy indyjskiej z widokiem na potężne Himalaje z jednej strony, a urocze wyżyny i doliny bogate w najwspanialszą roślinność z drugiej, pożegnaliśmy gościnną hinduskę i młodego Hindusa i puściliśmy się w dalszą drogę.

Wśród czarnych ludzi

Opuściwszy Indje przelecieliśmy ponad Arabją, ponad morzem Czerwonem i dostaliśmy się do Afryki, w okolicy środkowego Nilu, gdzie zatrzymaliśmy się krótko. Rzeka właśnie wezbrała, rozlewając szeroko swe wody i zalewając ogromne przestrzenie ziemi, ale nikt nie martwił się wylewem, — przeciwnie — panowała wśród mieszkańców wielka radość. Domy pobudowane były w znacznej odległości od brzegów rzeki, więc wylew nie groził im zniszczeniem, a im woda wyleje szerzej, im większą ogarnie przestrzeń, tym więcej użyźni pola, które tym bujniejszy wydadzą plon.

Teraz samolot nasz skierowaliśmy ku południowemu wschodowi, ponad kraj oznaczony na mapie nazwą Kongo. Lecąc dalej jeszcze na południe, spostrzegliśmy rzecz dziwną. Wielka gromada dzieci polowała na słonia. Patrzymy, biegają szybko, zabiegając to z tej to z innej strony i napędzają ogromnego zwierza w pewnym kierunku, aż naraz ziemia załamała się pod słoniem, a on wpadł w dół. Była to widocznie pułapka zręcznie zakryta, rozrośniętymi szeroko gałęzmi.

— No! tego nie spodziewałam się nigdy, — rzekłam do brata — żeby dzieci mogły urządzić polowanie na słonia.

— I ja nie mogę zrozumieć — odpowiedział mój brat — dlaczego w tem polowaniu nie biorą udziału starsi.

Naraz zawołał: — Już wiem, co to jest! Są to pewno Karły, które mają żyć gdzieś w tych stronach.

— Zjedźmy na ziemię — powiedziałam śmiejąc się — i zabawimy się w wielkoludów.

— Wcale nie pragnąłbym znaleźć się wśród nich. Czytałem w opisie podróży sławnego angielskiego podróżnika Nansena, jak bardzo dokuczyły mu te małe, nadzwyczaj złośliwe i przebiegłe stworzenia, których wzrost sięga le-

dwie dwóch łokci. A Nansen miał karawanę złożoną z setek ludzi; nas zaś jest tylko troje i trzy rewolwery. Wiedziałś przed chwilą, że nawet słoniowi dali radę. Mają oni ciągle walczyć z sąsiednimi plemionami rostrych ludzi, którzy wprost boją się ich napadów.

— Czy to plemię osiadłe, czy koczownicze? zapytałam.

— Podobno są tacy, co niemają stałych siedzib i nie używają żadnych naczyń, nawet wodę piją ze złożonych dłoni, ci śpiją pod drzewami bez żadnego pościelenia i nie noszą żadnego odzienia, ale podobno są i takie plemiona Karłów, które budują domki tak małe, że zaledwie te małe istotki zmieścić się w nich mogą.

— Ciekawy kraj — pomyślałam, a właśnie w tej chwili Karzełkowie, zapędziwszy słonia w dół, przestali widocznie krzyczeć i usłyszeli furkot naszego samolotu.

Stanęli zdumieni, wszyscy wzniesli ręce z łukami, ale nasz samolot uniósł się wyżej, i znikł z oczu zdumionych Karłów, wśród których nie zatrzymaliśmy się dłużej.

Nareszcie nadlecieliśmy na wybrzeże morskie południowej Afryki. Wiedziałam, że kraje te słyną kopalniami złota, drogich kamieni i kością słoniową, która jest właściwie olbrzymimi kłami słoni i że mieszkają tam rozmaite plemiona murzyńskie, niektóre trochę cywilizowane, inne zupełnie dzikie.

Lecąc nad wybrzeżem morza, ujrzałam nędzne lepianki w krąg ustawione. Starszych ludzi tu prawie nie było, tylko gromadka dzieci bawi się wesoło.

Przykładam do oczu szkła i widzę je dobrze. Głowy ich kędzierawe, czarne, twarze także czarne, szerokie, płaskie, nogi i ręce długie i chude. Ubranie bardzo wygodne, nie niszcza go przy najśmielszych skokach, ani przedzierając się przez gęstwiny drzew ni krzewów, bo całe to ubranie składa się z kawałka jakiejś postrzępionej tkaniny, co jak mały fartuszek przywiązana jest w pasie jakimiś włóknami roślinnymi. Ale każdy z nich ma na szyji uwiązany jakiś wisiołek, kawałek kości, albo metalu, albo duży paciorek, a nawet całe sznurki koralików, które zdobią dziewczęta i chłopcy.

Oto na obrazku widzicie dwoje takich dzieci, jeden wyskoczył na grzbiet drugiego i śmieje się wesoło, a i temu, co go dźwiga, nie musi być bardzo ciężko, bo i jego twarz rozradowana i roześmiana. Druga parka dzieci buduje z gliny domek podobny do domu rodziców, tylko ma-lutki, pewno mieszkać w nim będą lalki. Inne biegają, go-nią się, a jeszcze inne pobiegły gdzieś daleko szukać o-łowców, spadłych z drzew, dziko rosnących, a może jakich



owadów lub jaszczurek, bo dzieci murzyńskie wcześniej uczą się same dawać sobie radę.

Lecąc dalej, zobaczyłam coś, czego na razie nie mogłam zrozumieć: oto nad niewielkim pólkiem ryżowym skakały dzieci, wywijając pękami piór, zeszlými liśćmi palmowemi, krzycząc jak mogły najgłośnie- j. Dziwna to zabawa, pomyślałam, ale wnet spostrzegłam, że to jedno, to drugie dziecko, zmęczone skakaniem, krzykiem i wywi-

janiem rąk padało i chwilę leżało ledwie dysząc, ale wtedy inne je podrywały i znowu wszystkie krzyczały i skakały dalej, aż po jakimś czasie tak się zmęczyły, że wszystkie rzuciły się na ziemię i leżały jakby pomdlały, a wtedy tłum ptactwa wpadł na ryż, a także przybiegł starszy murzyn, grożąc dzieciom bambusowym kijem, wtedy przestraszone dzieci zaczynały znowu skakać i krzyczeć.

Później dowiedziałam się, że dzieci murzyńskie mają obowiązek odstraszać od pól ryżowych i kukurydzianych łakome na ziarno ptactwo. U nas stawiają w zbożu strachy z patyków i szmat, ale u Murzynów każda szmata jest cennym przedmiotem, więc nie używają ich na strachy, a i ptactwo tam bujniejsze, łakomsze, napastliwsze, więc dzieci wbijają dokoła łanu patyki, rozciągają na nich sznury, do sznurów przywiązują pióra ptaków, ogony innych zwierząt, zeszlę liście i robią takie ruchome ogrodzenie, a gdy ptactwo się zlatuje, zaczynają szarpać sznury i tem je odstrasza. Zajęcie takie mogłoby być zabawką, gdyby nie to, że dzieci nie mogą spocząć ani na chwilę.

Lecąc dalej, zobaczyłam inną osadę, w której domy przypominały nasze chaty i miały otwory na okna i drzwi, a dzieci i kobiety ubrane tam były w barwne tkaniny. Zrobiłam zdjęcie fotograficzne, więc i wy możecie zobaczyć, jak to wyglądało. Dwoje dzieci w koszulkach i jakichś płachtach szło poważnie, jakaś kobieta również ustrojona niosła na plecach dziecko, inna w stępie tłukła ziarno na placki, inna na progu chaty karmiła dziecko. Zdziwiło mnie to, że w jednej okolicy Murzyni chodzą naddzy, a w drugiej tak się zawijają mimo skwaru, ale później dowiedziałam się, że to misjonarze chrześcijańscy, ucząc Murzynów religji, obdarzają ich barwnymi materjami, które oni noszą z dumą.

Gdzie nadleciał nasz samolot, wszędzie pierzchały przerażone dzieci, wołając: biali! biali! Nareszcie nadlecieliśmy do osady, w której stał domek trochę staranniej zbudowany, przed nim, w cieniu mocno wystającego dachu na ławeczce, siedzieli dwaj ludzie, ubrani po europejsku, twarze ich, choć opalone, były jasne. Usłyszawszy furkot samolotu, wstali i patrzyli w górę. Nasz pilot zniżył bar-

dzo lot, ja i brat powialiśmy białymi ręcznikami, oni odpowiedzieli taksamo.

Spuściliśmy się aż na ziemię. Wtedy oni podeszli ku nam i mówiąc po angielsku zaprosili do swej chaty. Dowiedzieliśmy się, że jeden z nich jest misjonarzem, a drugi uczonym podróżnikiem, który bada zwyczaje i obyczaje Murzynów.



Ucieszyliśmy się bardzo i weszliśmy do wnętrza chaty, której okna i drzwi osłonięte były matami z liści palmowych, wskutek czego w domu panował miły chłód.

Zaproszeni na noc, zostaliśmy do dnia następnego. Na wieczerzę podano nam pyszny napój z soku palmowego, placki z ryżu i chleb z rdzenia pewnego drzewa, zwanego

baobab, który krajowcy pieką w ten sposób, że skibki kładą między dwa, słonecznym żarem rozpalone, gładkie kamienie.

Tu też, od uczonego podróżnika i misjonarza dowiedziałam się o życiu Murzynów i ich dzieci.

Oto, co mi ci panowie opowiedzieli:

Nie wszyscy Murzyni stoją na jednym stopniu cywilizacji. Jedni z nich umieją nawet tkąć, obrabiają w kuźniach żelazo, inni zaś żyją w stanie zupełnie pierwotnym. Wogóle są bardzo zdolni, dzieci ich uczą się łatwo, a niektórzy młodzieńcy wyjeżdżają nawet na wyższe studia do Europy i Ameryki i tam należą do najzdolniejszych uczniów.

Z powodu gorąca Murzyni nie noszą prawie ubrania, pracują mało, bo dziko rosnące palmy baobaby i inne rośliny dostarczają im owoców, a zboże wydaje plon bez uprawy, więc o ile skwar słońca nie spali ziarna, albo nie zniszczą go ulewy, mają podostatkiem żywności. Chaty murzyńskie, lepione z gliny, przykryte liśćmi palmowymi, są nędzne. Niema w nich prawie sprzętów; żarna do rozcierania zboża, tykwy na wodę i sok palmowy, parę mat i plecionych koszyków, to całe urządzenie murzyńskiej chaty.

Gdy dziecko urodzi się w takiej chacie, wielka w niej panuje radość. Cieszy się ojciec chłopcem, bo gdy dorosnie, wyręczy go w robocie, a on sam będzie wylegiwał się w cieniu palmy, jeżeli urodzi się dziewczynka, panuje w chacie równa radość, bo gdy dorosnie, przyszyły jej mąż zapłaci za nią dobrze wołami, lub innym dobytkiem, zato, że będzie mu pracowała, orała, siała i mella.

Nowo narodzonemu dziecku dają imię stosowne do okoliczności, i tak na przykład: imię Nsekanabanzi (co znaczy, śmieje się do wroga) dostało dziecko, które zaśmiało się do nieprzyjaciela, który wszedł do chaty. Nyandwi, czyli siódmy, dostał chłopiec, co był siódmym dzieckiem u rodziców. Kijoro, nazwano dziewczynkę bardzo czarną, bo słowo to oznacza ciemną noc i tak dalej.

Skóra nowonarodzonych dzieci bywa czasem jaśniej-

sza, czasem ciemniejsza, ale w miarę uganiań po słońcu, ciemnieje coraz bardziej i nabiera blasku.

Gdy dziecko się urodzi, malcy znoszą mu swoje zabawki i obdarzają czem mogą: błyszczącymi kamykami, jagodami, lalkami, a stara kobieta, coś w rodzaju znachorki, smaruje je maścią z tłuszczu i czerwonej gliny, nacina skórę dziecka, i matki i napuszcza w te nacięcia jakąś mieszaninę obrzydliwych rzeczy. Boli to matkę, boli dziecko, które płacze i krzyczy, ale chociaż matka bardzo kocha dziecko, słucha z radością jego krzyków i znosi ból cierpliwie, bo wierzy, że te czary odpędzają od dziecka złe moce. Ale nie dość tego, znachorka też kopci dzieci dymem, co ma tę dobrą stronę, że chroni delikatną skórę dziecka od ukąszenia owadów. I starsze dzieci okopcają też dymem. Dym gryzie ich oczy i pewno dawnoby już uciekły, gdyby nie straszne opowieści, którymi stara Murzynka trzyma na uwieży swych małych słuchaczy.

Gdy dzieci zaczynają chodzić, mają najzupełniejszą swobodę, nikt nie uczy ich grzeczności, uganiają po polach i lasach, bawią się wesoło, lepią sobie z gliny zabawki, jak lalki, woły, budują chaty dla lalek i bydła, a gdy już mają domy, lalki, woły, wtedy chłopcy kupują udziwczynkę żony za swoje woły. Targ o żony bywa bardzo żywy i nie rzadko kończy się bójką, gdy dziewczynki zanadto wysoko cenią swoje lalki, a chłopcy zamało wołów dają za nie.

Ale nie zawsze tak wesoło bywa tym dzieciom, męczące odganianie ptactwa od zboża, to jeszcze rzecz nie najgorsza. Gdy ulewne deszcze, co padają tam czasem całe miesiące, zniszczą ryż, lub gorące słońce go spali, wtedy panuje głód i dzieci muszą sobie radzić same. Biegną więc do lasów i tam wyszukują pożywienia, albo idą na wybrzeża rzek lub morza, żeby stamtąd co wyłowić. Ale z lasów i wód grozi im niebezpieczeństwo, bo w lasach krążą lwy i tygrysy, a w wodach afrykańskich żyją straszliwe olbrzymy, co czyhają na ludzi. Żyją tam w wodach rekiny czyli ludojady, ogromne potwory morskie długie na kilka metrów, które czatują na nieostrożnych ludzi. Żyją też tam ogromne krokodyle, które lubią wygrzewać się

w mule nadbrzeżnym, w promieniach słońca, lub podpływają do brzegów i chwytają nieostrożne dzieci.

Istnieje też u dzikich plemion południowo afrykańskich straszny jeden zwyczaj. Gdy susza lub deszcze niszczą zasiewy, lub gdy inna jaka klęska nawiedzie okolicę, wtedy rodzice na przebłaganie rozgniewanego bóstwa rzucają mu na ofiarę dzieci.

Więc gdy jest odpływ morza, podjeżdżają w łodziach na odkryte wybrzeżne piaski, wbijają tam pal, przywiązują do niego dziecko, a sami prędko cofają się na ląd. Następnie przypływ morza, fale z szumem nadpływają ku brzegom i otaczają słup, do którego przywiązano dziecię; przeżalone dziecko krzyczy i płacze, ale szum morskich bałwanów zagłusza krzyk. Czasem z falami nadpływnie rekin i porwie dziecko, wtedy murzyni tańczą i cieszą się, że bóstwo dało się przebłagać i przyjęło ofiarę — jeżeli zaś właśnie nie nadpływnie żaden potwór morski, to i tak dziecku nie ratują, lecz zostawiają je na przebłaganie zagniewanego bożka.

Największym postrachem murzyńskiego dziecka są tak zwani przez nich „biali“, to jest Europejczycy. Choć handel niewolnikami już ustał, to jednak tam, w głębi południowej Afryki i na niektórych wybrzeżach, mimo surowych kar trwa on dotąd. Biali w pojęciu afrykańskiego dziecka jest tem, czem u naszych dzieci djabeł, wilkołak, strach, słowem coś, co może być najgorszego i najpotworniejszego. Gdy dziecko murzyńskie płacze lub krzyczy z głodu, wtedy wystarczy, gdy matka powie: „Cicho, bo cię oddam białym“, albo: „cicho, bo biały usłyszy“ a dziecko uspokaja się w jednej chwili i nie śmie już mruknąć.

A doprawdy dziecko murzyńskie ma większy powód obawiać się białych, niż wy strachów lub czarownic, bo strachy i czarownice nie istnieją, a biali od czasu do czasu wylądowują na wybrzeżach Afryki i zabierają od Murzynów kość słoniową, skóry tygrysa, złoto i inne drogie u nas rzeczy, a natomiast dają im różne bezwartościowe przedmioty, jak lusterka, paciorki, tanie jaskrawe tkaniny, a co najgorsza — tytoń i wódkę. Ojcowie wtedy piją, a pijani oddają wszystko, co posiadają, a często nawet sprze-

dają własne dzieci, które potem dostawały się do niewoli. Ale Bogu dzięki, czasy te mijają bezpowrotnie.

Gdy chłopak skończy lat dziesięć, ojciec przyucza go strzelać z łuku, a często kładzie mu jedzenie na gałęzi



drzewa i każe je sobie strącić celnym strzałem. Potem uczy go rzucać oszczepem, co jest bardzo ważną umiejętnością dla Afrykanina, gdyż strzałą i oszczepem broni się przed napaścią sąsiadów i drapieżnych zwierząt i sam na nich napada. Ale nauka strzelania to rzecz wcale przyjemna i niejeden chłopak europejski chętnie zamieniłby książkę na łuk i oszczep. Cięższą pracą jest rybołówstwo.

Aby zostać rybakiem, chłopak murzyński musi wprzód nauczyć się doskonale pływać, bo często fale rzeczne czy morskie zatapiają jego malutką, z kory drzewnej zrobioną łódkę, zwaną pirogą. Całymi dniami siedzi wyrostek w takiej pirodze, czatuje na ryby, zarzuca wędkę, sieci, walczy z wielkimi rybami, wyciąga je i dobrze jeżeli zajętego tą pracą, nie pochwyli krokodyl, lub nie zatopi wzburzona fala.

Młodzieniec, który nauczy się celnie strzelać z łuku i rzucać oszczepem, podchodzić dzikie zwierzęta i unikać ich napadu, który umie sobie dać radę w wodzie: pływać, walczyć z falami, łowić ryby, umykać przed rekinami i krokodylami, przestaje być dzieckiem, tak jak dziewczynka, która umie uprawiać pole, mleć ziarno, wypiekać placki, uważana jest za dorosłą.

Na drugiej półkuli

Gdzie teraz chciałabyś pojechać siostrzyczko? — zapytał mnie brat, gdy przeleciawszy nad Afryką od południa do północy, zatrzymaliśmy się w Kairze.

— Teraz chciałabym polecieć do Ameryki, aby poznać dzieci i młodzież tam żyjącą.

— To będzie trochę trudniej — odparł brat — bo jakkolwiek kilku najśmielszych i najbardziej wyćwiczonych lotników przeleciało już przez Atlantyk, ale ani ja nie jestem tak doskonałym lotnikiem, ani mój samolot nie jest tak zbudowany, żebyśmy mogli puścić się w taką podróż.

— A więc jakże poznam sposób życia dzieci amerykańskich?

Brat pomyślał chwilkę i powiedział:

— Wiesz co przyszło mi na myśl: Napisz do ciotki Julji, która mieszka w Chicago (czyta się Czikago) i jest tam dyrektorką jednej ze szkół, ona da ci lepszą niż ja radę.

— Doskonale! — zawołałam — ale zanim list mój dojdzie do Chicago, zanim otrzymam nań odpowiedź, upłynie tyle czasu, że skończą się twoje wakacje.

— My przez ten czas możemy polecieć gdzieindziej.

— Zanim obmyślimy plan dalszej podróży, a ja poczynię niezbędne przygotowania do drogi, ty siadaj i pisz.

Jeszcze tego samego dnia napisałam do ciotki, a po sześciu tygodniach, gdy już byłam z powrotem w Polsce, otrzymałam spory pęk arkuszy, przez nią zapisanych.

Oto, co napisała:

Aby poznać życie ludzi, a więc i dzieci w Ameryce, niedosyć jest przejechać olbrzymi ten szmat ziemi w jednym roku, a choćby i w kilku latach. Tu wszystko zmienia się tak szybko, że chcąc ci dać poznać życie dzieci amerykańskich, dam ci kilka obrazków z przed lat stu, kilkudziesięciu i z ostatniego lat dziesiątka.

Zapewne słyszałaś już lub czytałaś, że w Ameryce zdarza się, że w miejscu gdzie przed laty dziesięciu była puszcza, lub kilka osad rzuconych wśród pierwoborów, dziś wznoszą się miasta o milionowej ludności, urządzone z najwyższym wykwintem i wygodami, jakich dostarczyć mogą najnowsze zdobycze wynalazków i techniki.

A więc słuchaj:

Zanim osadnicy hiszpańscy, portugalscy, angielscy i inni opanowali Amerykę, mieszkała w niej ludność tak zwanych Indian czerwonoskórych. Nazwano ich Indianami, gdyż Kolumb odkrywszy Amerykę, myślał, że dotarł do wschodnich wybrzeży Indji, a nazwę czerwonoskórych nadano im od barwy skóry, która ma czerwonawy odcień miedzi.

Nie mogę opowiadać ci o licznych plemionach czerwonoskórych, ale napiszę choć o niektórych.

Nie wszędzie wszyscy pierwotni mieszkańcy Ameryki stali na jednym stopniu cywilizacji, a i sposób ich życia zmieniał się stosownie do tego, czy żyli w krajach gorących, jak w Ekwadorze lub północnej Brazylii, albo w klimacie łagodnym, jak w Meksyku, albo też w okolicach strefy zimnej.

Niektórzy z nich, jak mieszkańcy południowych krańców Ameryki, budowali mieszkania z drzewa, ale po największej części mieszkali w namiotach, tak zwanych wigwamach, które od czasu do czasu zwijali i rozkładali gdzie indziej, gdyż jak zwykle ludzie żyjący dziko, prowadzili życie koczownicze.

Inni znowu, jak mieszkańcy Meksyku, stali na bardzo nawet wysokim stopniu cywilizacji. Aztekowie i inne plemiona tubylcze, które zajęły południową część Ameryki północnej od oceanu Atlantyckiego po ocean Spokojny, założyli tu państwo Meksykańskie, ze stolicą Tenochtitlan, w której były wspaniałe budynki, a nawet świątynie. Państwo to doszło do najwyższego rozwoju w wieku XV.

Gdy w roku 1519 żeglarz hiszpański Cortez wylądował w Meksyku, panujący wówczas król Montezuma przyjął go uprzejmie, ale Europejczycy nie uszanowali ani cywilizacji, ani wolności Meksykańczyków. Zajęli kraj w imie-

niu króla Hiszpanji, sponiewierali ich, odebrali im siłą wolność i zniszczyli zabytki kultury, którą dziś potomność odgrzebuje z ruin i podziemia.



W Ameryce północnej, którą dziś już prawie zupełnie opanowali przybysze, mieszkali czerwonoskórcy w wigwamach, nie znali pieców ani kominów, gotowali na ogniu

skach rozkładanych przed namiotami. Jadali ryby, mięso zwierząt chwytyanych na łąso t. j. na długi sznur zakończony kamykiem.

Ludzie ci nie znali żelaza, jedynem ich narzędziem były siekierki żelazne, zwane tomahawkami, a bronią drewniane strzały i łuki. Mężczyzni polowali i staczali walki z sąsiednimi plemionami, a chcąc sobie nadać jaknajstraszliwszy wygląd, malowali się jaskrawo idąc do walki i stroili głowę w sterzące wysoko pstre pióra barwnych ptaków. A gdy zabili przeciwnika, to skalpowali jego czaszkę, to znaczy obcinali skórę wraz z włosami i skalpy te przywiązywali sobie u pasa na znak zwycięstwa. Kobiety spełniały wszystkie najcięższe roboty, a więc zbierały drzewo na opał, przynosiły wodę, gotowały strawę, sporządzały odzież, a nawet ustawiały i rozbierały namioty.

Ale ty chciałaś się dowiedzieć, jak tam żyją dzieci.

Dzieci czerwonoskórych mają kołyski niepodobne do żadnych innych. Matka robi worek skórzany, mało co krótszy od dziecka i przybija go do deski, do tej deski u góry gdzie otwór worka, przymocowuje zgięty pręt, podobny do rączek u naszych koszyków. Dziecko owinięte ciepło wsuwa w ten worek i wiesza go na gałęzi drzewa, a każde poruszenie dziecka wprawia kołyskę w ruch i huśta je. Jeżeli zaś matka idzie do lasu, to zawiesza sobie dziecko razem z kołyską na plecach, zaś ucho kołyski wsuwa pod brodę i z tym ciężarem idzie po wodę czy gałęzie.

Ubranie dzieci jest takie same, jak dorosłych. Noszą na plecach skóry zwierząt, w które się zawijają jak w peleryny. Na nogach noszą obuwie ze skóry zwierząt bez podeszew, coś w rodzaju krypci naszych górali, mężczyźni noszą skórzane spodnie.

Naturalnie, że dzieci pierwotnych Indian nie uczyły się w naszym pojęciu, bo któż miał je uczyć? Uganiały więc swobodnie, chłopcy uczyli się od ojców polować, łowić ryby, podchodzić nieprzyjaciela i bronić się od napaści, dziewczynki, jak wszędzie u ludów pierwotnych pomagały matkom bawić dzieci i spełniać roboty, jakie matki robiły. Najmilszą ich zabawką były i są lalki, którymi bawią się dziewczynki całego świata.

Tak było w Ameryce przed wiekami, tak jest i dzisiaj tam, gdzie nie dotarł wpływ przybyszów. Gdzie osiedli



Europejczycy, tam wprowadzają swoje zwyczaje, a rząd zakłada szkoły dla Indian, których ojcowie poszli w służbę białych twarzy, jak nazywają Europejczyków.

Prawdziwym rajem dla dzieci jest Meksyk, kraj o którym już wspomniałam. W kraju tym panuje wieczna wiosna, powietrze tam przepojone wonią kwiatów i owoców. Ziemia, drzewa i krzewy obsypane przepysznyem kwieciem i najwyborniejszymi owocami. Rodzice kochają i pielęgnują troskliwie dzieci, które odwdzięczają się im serdeczną miłością i czcią. Dom rodzicielski jest im najdroższem miejscem.

Hiszpanie osiedleni w Meksyku zachowali wiele zwyczajów sięgających jeszcze czasów, kiedy przybyli z macierzystego kraju. Popatrz na tego malca na obrazku, z jaką powagą kroczy owinięty w barwną opończę, zwaną cobizas, albo zarepes, która okrywa go od szyi do stóp. Takie same opończe noszą starsi a jeżeli siadają na konia, to ubierają opończe, mające w środku wycięte otwory w które wsuwają głowy, wówczas są cali okryci, a opończa nie płącze im się u nóg. Powaga dzieci meksykańskich jest zabawna, śmieją się rzadko, ale jeszcze rzadziej płaczą. Ulubioną ich rozrywką jest z Hiszpanji sprowadzona walka kogutów, której przypatrują się godzinami, a nawet walka byków nie strasza im wcale.

Chrzciny dziecka w rodzinach meksykańskich są wielką uroczystością. Na tę uroczystość rodzice rozsyłają zaproszenia do krewnych i znajomych, maleństwo ubierają jak mogą najkosztowniej a na szyi zawieszają mu talizman, mający odpędzać nieszczęścia. Przed kościołem, w którym ma się odbyć chrzest zbierają się zwykle tłumy ubogich, czekających na jałmużnę i znajomych, oczekujących zaproszeń. Ale choć Meksykańczycy dzisiejsi tak stroją i pieczą dzieci, zaprawiają je jednak wcześniej do pracy. Kilkuletnia dziewczynka średniej klasy umie zgotować obiad i zrobić porządek w domu, a mały chłopak przynosi do domu nabyte w sklepie towary, przygotowuje drwa do kuchni, przynosi wodę. W ubogich rodzinach matki dają dzieciom często napój zwany pulgue, napój ten, przyrządzony z odwaru pewnego rodzaju kaktusa, ma własności odurzające, a dają go dzieciom, ażeby usnęły.

Święto Bożego Narodzenia obchodzą tam bardzo uroczyście i w dniu tym obdarzają dzieci przysmakami i innymi podarunkami.



Każda najmniejsza wieś ma szkołę, w której obok języka hiszpańskiego uczą też po angielsku.

Niech ten przykład da ci dowód, że w każdym kraju Ameryki dzieci ludzi białych bywają chowane wedle zwyczajów przywiezionych z kraju macierzystego przed wielu laty. Przeważa jednakże wpływ i język angielski.

Osadnicy amerykańscy przybywszy z Europy w bardzo jeszcze mało, albo wcale niezaludnione okolice, obierali sobie kawał ziemi, zarosły drzewami, gdzieś w niewielkiej odległości od wody i innych ludzkich osiedli, jeżeli takowe już były. Wyrąbывali drzewa, karczowali korzenie, zasiewali trochę zboża i budowali na prędce jakie takie domy. W pracy tej brali udział wszyscy członkowie rodziny, każdy robił co mógł. A nie tylko, że pracowali z wyteżeniem wszystkich sił, ale jeszcze dzień i noc czuwać musieli, czy z lasu nie wychyli się dziki zwierz, lub czerwony Indianin, nie ugodzi ich zatrutą strzałą, albo nie wpadnie nawet całe plemię tubylców, nie wymorduje całej rodziny i nie zagarnie całego dobytku, lub go nie spali.

Życie dzieci takich rodzin pozbawione było pieśczoł i wesołości dziecięcej, zabaw, ale zato wyrabiało w nich siłę, odwagę, hart, przedsiębiorczość i to co Amerykanie nazywają self-help, to jest samopomoc, samostarczenie sobie. Z dzieci tych wyrastali ludzie, którzy wprost podziw budzą.

W takich warunkach nie było mowy o planowem wychowaniu dzieci, o nauce. Gdy rodzice zmęczeni całodzienną wyteżającą pracą weszli pod dach, radzi byli, gdy mogli zaspokoić głód, usnąć i do jutrzejszej pracy sił nabrać. Szkół nie było tam żadnych, a ani ojciec, ani matka, nie mieli czasu na uczenie dzieci, często też przybywali ludzie, którzy sami nie umieli czytać, ani pisać.

Osadnicy ci zakładali swe osady zwane farmami, w niezbyt wielkiej odległości, aby w razie napadu Indian móc sobie nawzajem pomagać, ale też i niezbyt blisko, ażeby móc zająć jak największą przestrzeń ziemi. Gdy takich osad zebralo się kilkanaście, zwykle też znachodził się ktoś, kto miał mniej sił do pracy wymagającej dużej tężyzny, a natomiast mógł uczyć dzieci chociażby tylko

czytać i pisać, częściej bywały to kobiety, a czasem i mężczyźni. Tacy przygodni nauczyciele prowadzili szkoły.

Ale jakie to były szkoły!

Czasem nauka odbywała się w szopie, a już wielka rzecz, jeżeli znalazła się jaka izba. Nikt nie miał czasu robić ławek, bo kto miał siłę, ten kopał, orał, hodował bydło. Więc uczniowie takiej szkoły, jeżeli czas był ciepły, siadali przed chatą albo szopą i uczyli się pisać czem i naczem kto mógł — to na piasku patykiem, to na desce opalonym pręcikiem, a czytać uczyli się często z wyciętych z deszczulek liter, a rzadziej z książek. A i o wspólnej nauce mowy być nie mogło, bo każdy z uczniów był inaczej przygotowany, jeden uczył się już kiedyś czegośkolwiek, inny o niczem nie miał pojęcia. Jedni uczniowie mieli lat siedem, osiem, a inni kilkanaście. Więc ci, co umieli więcej, pomagali tym, co nie umieli nic, a o regularnem uczęszczaniu na naukę mowy być nie mogło, bo starsi musieli w gospodarstwie pracować i tylko od czasu do czasu wpadali do szkoły. To znowu Indianie urządzali w lesie zasadzki i wtedy zanim osadnicy ich odegnali, nikt nie śmiał wychylić się z osady, a tem mniej dzieci. I piechotą do tej szkoły uczniowie iść nie mogli, bo jedna osada od drugiej i od szkoły, którą urządzano w środku, oddalone były o kilka i kilkanaście kilometrów, a w lasach grasowali nie tylko Indianie, ale i dzikie zwierzęta.

Z biegiem czasu szkoły te coraz ulepszano, przybywali nauczyciele i nauczycielki, stawiano osobne szkolne budynki pomiędzy osadami, ale z powodu oddalenia osad zawsze trudny był do nich dojazd. Zdarzały się więc rozmaite przygody.

Przed kilkudziesięciu laty w stanie Kentucky, w miejscowości zwanej Mount Welkomy, założyła szkołę panna Sara Jarwis. Dzieci przyjeżdżały do tej szkoły konno z osad bardzo odległych. Razu pewnego szkołę tę miał zwiedzić inspektor szkolny. Dzieci oczekiwały przybycia gościa. Wtem jakiś szmer dał się słyszeć koło drzwi.

Pan inspektor, pan inspektor, szeptały dzieci...

Po chwili szmer dał się słyszeć koło okna. Zdziwiona nauczycielka otworzyła okno, a wtem o framugę oparła

się duża, czarna łapa, a tuż nad nią ukazała się głowa wielkiego brunatnego niedźwiedzia.

W klasie powstał najstraszliwszy zamęt i krzyk, tylko nauczycielka nie straciła przytomności, w jednej chwili chwyciła stołek i rzuciła nim w głowę nieproszonego gościa.

Gdy niedźwiedź cofnął się odstraszone niespodziewanym uderzeniem, nauczycielka zawołała:

— Wychodźcie tylnymi drzwiami, uciekajcie i wezwijcie pomocy.

Nigdy rozkaz żadnego nauczyciela nie został skwapliwiej wykonany. Po chwili klasa była próżna.

Tymczasem, gdy dzieci uchodziły, niedźwiedź kilkakrotnie wracał do okna, ale każdym razem odtrącał go sprzęt wymierzony dzielną ręką nauczycielki.

Gdy ostatni stołek wyleciał przez okno, nauczycielka cofnęła się szybko ku drzwiom i zamknęła je za sobą na klucz. Niedźwiedź wskoczył do próżnej klasy, a nauczycielka tymczasem szybko obiegła domek i zatrzasnęła okno i okiennicę.

Misio znalazł się w samotrzasku, a dzielna miss Sara, dopadłszy konia, popędziła do najbliższej osady, aby wezwać pomocy.

Niedźwiedź szamotał się w klatce, w końcu wysadził okno.

Ale zaledwie wysunął głowę, powitały go strzały oczekujących jego wyjścia farmerów.

Dziś w tych miejscach, gdzie przed stu a nawet kilkudziesięciu laty, niedźwiedzie zamiast inspektorów chadzały na wizytację szkół, rozsiadły się ogromne miasta z najwspanialszymi domami, a szkoły są tak urządzone, jak nigdzie na świecie.

Wejźmy do jednej z nich:

Jestto wspaniały gmach o dużych oknach, przez które wpadają całe snopy promieni słońca. Okna ozdobione kwiatami pielęgowanymi przez uczniów. Wchodzi się przez jasną dużą sień, a raczej salę wstępną, zwaną po angielsku hall. W parterze kancelarje, pokoje konferencyjne, pokoje dla nauczycieli, gabinety naukowe i schody

prowadzące do klas położonych na piętrach. W środku hallu stoi ogromny, doskonały gramofon, którego dźwięki słyhać wyraźnie w całym gmachu.

Jest kwadrans przed godziną, w której ma się rozpocząć nauka. Wszyscy nauczyciele i nauczycielki już zgromadzeni w hallu, schodzą się też uczniowie i uczennice, witają ukłonem nauczycieli i idą na piętra, zdejmując wierzchnie ubrania, wieszają je w szatniach i wchodzą do klas.

Każda klasa ma swój własny sztandar, który tkwi w klamrze przymocowanej obok klasy.

Zaczyna bić godzina, wszyscy stają przy swoich stolikach, nauczyciele wchodzą na katedry, uczniowie i uczennice, którzy w dniu tym są gospodarzami swych klas, wnoszą sztandary i ustawiają je przed katedrą nauczycieli. Z ostatniem uderzeniem zegara wszyscy są na swoich miejscach. Cisza zupełna zalega cały budynek szkolny, a wśród tej ciszy odzywa się potężny głos gramofonu i gra hymn narodowy Stanów Zjednoczonych. Cała szkoła wtóruje śpiewem. Nauczyciel przebiega oczyma całą klasę i patrzy czy kogo nie brakuje.

A oto w jednej z klas zdarzył się bardzo rzadki wypadek. Przed jednym stolikiem niema ucznia. Spóźnił się, wszedł tylko o jedną minutę po wydzwonieniu godziny, a teraz stoi pokornie za drzwiami i sam nie wie co począć ze sobą, uciec za późno, wejść do klasy nie śmie. Radby, żeby podłoga rozwarła się pod nim, a on znikł ze szkoły, ale zniknąć nie może.

Śpiew skończony. Z wszystkich klas wynoszą sztandary i napowrót wkładają je w klamry umieszczone przed drzwiami. Jednego tylko sztandaru nie wynoszą, a to z tej klasy do której uczeń się spóźnił, przez co zhańbił swój sztandar. Zdjęto sztandar z podstawy, na której stał wzniesiony i położono go na znak pohańbienia, a cała szkoła wychodząc z klas dowie się, że w tej klasie spóźnił się jeden uczeń, a jego koledzy klasowi za swe poniżenie ukarzą go sami, gdy wyjdą ze szkoły.

Takie pohańbienie sztandaru wobec całej szkoły, jest największą karą i hańbą dla winowajcy. Pamiętać o tem

będą jego koledzy, dokąd będą z nim w szkole, a on i nikt z całej szkoły nie spóźni się z pewnością nigdy.

Tak to Amerykanie przyuczają swych przyszłych obywateli do punktualności.

Ale zanim powstały te znakomite szkoły, było sporo chłopów, synów osadników, którzy musieli każdą piędź roli wrywać pierwoborom i nie mogli uczęszczać do szkoły. Często zdarzało się, że chodzili rok lub dwa do szkoły, albo i to nie. Zdarzało się, że ktoś poduczył ich czytać, trochę pisać, a resztę zdobywali sami. Z takich chłopców wyrastali najdzielniejsi ludzie, których siła woli, ogrom pracy i skutki tej pracy posunęły szybko postęp ludzkości, olśniły świat cały i budzą podziw nie tylko społeczeństw, ale i potomności. O tej to młodzieży chciałabym cośkolwiek powiedzieć; bo pragnęłabym bardzo, ażeby i w Polsce byli tacy.

Najdzielniejszym z tych samouków był niezawodnie znany w całym świecie uczony i mąż stanu, Benjamin Franklin.

Był on jednym z czternaściorga dzieci niezamożnego mydlarza w Bostonie. Rodzice, mimo wyężdżającej pracy, nie mogli łożyć na wykształcenie tak licznej gromadki dzieci, które od bardzo wczesnej młodości musiały zarabiać na własne utrzymanie.

Benjamin uczęszczał ledwie dwa lata do szkoły, a że lubił namiętnie czytać, wybrał sobie zawód drukarza. Właśnie wtedy przybył z Anglii najstarszy brat jego i założył w Bostonie drukarnię. Benjamin zażądał, żeby brat wypłacał mu połowę tej sumy, którą wydawał na żywienie każdego z robotników i uczniów, a on wyżywi się sam. Jakoż z tej bardzo skromnej sumki kupował sobie nie tylko chleb i kaszę, które stanowiły jedyne jego pożywienie, ale oszczędzał jeszcze na świece, papier i książki. A gdy robotnicy wychodzili na południowy odpoczynek, on zasiadał do nauki, na nauce też spędzał całe wieczory i część nocy. Tak pracując, nauczył się tyle matematyki i fizyki, ile jej uczą w szkołach średnich, pracował też nad wyrobieniem stylu w ten sposób, że odczytywał najlepszych autorów, a potem sam własnymi słowy tę samą treść pisał, pracę swą

porównywał z wzorem, poprawiał, aż napisał zupełnie poprawnie. Obok drukarni brata była redakcja miejscowego pisma. Benjamin pisał już artykuły i rzucał do skrzynki redakcyjnej, które redakcja uznawała za bardzo dobre, nie domyślając się, że pisze je skromny chłopak drukarski, który własną pracą doszedł do tego stopnia wykształcenia i zrozumienia spraw ogólnych. Czytywał też dzieła filozoficzne, a z książką znakomitego filozofa greckiego Sokratesa nie rozstawał się nigdy.

Gdy miał lat siedemnaście, był człowiekiem wykształconym, autorem licznych artykułów dziennikarskich, a był dotąd tylko drukarczykiem, który za swą pracę pobierał tylko owe pieniądze na wikt i oprócz tego brat obchodził się z nim bardzo źle.

Postanowił tedy opuścić drukarnię brata i wyjechać z Bostonu, a że nie miał pieniędzy na drogę, sprzedał część swojego bardzo skromnego ubrania, aby mieć czem opłacić kosztą podróży. W drodze zerwała się burza, Benjamin pomagał ratować zagrożoną łódź, a w tej walce z burzą zniszczył do reszty zużyte już ubranie.

W starem, brudnem, przemokniętem ubraniu, z kieszeniami wypchanemi koszulą, parą pończoch i kilku książkami, z którymi nie rozstawał się nigdy i z jednym talarem w kieszeni, młody drukarz przybył do Filadelfji szukać pracy. Wstąpił do piekarza, kupił za trzy pensy trzy struclki, jedną wsunął pod jedno ramię, drugą pod drugie, a trzecią zajadał. Tak obciążony wrócił do łodzi, w której siedziała towarzyszka jego podróży, uboga kobieta z dzieckiem. Jej wręczył dwie bułki, sam napił się wody i poszedł do miasta.

Idąc za ludźmi, wszedł do kościoła kwaków, usiadł w ławkę, a zmęczony trudem podróży, usnął. Gdy wszyscy wyszli, sługa kościelny zamykający kościół zbudził go, a dowiedziawszy się, że szuka pracy, dał mu adres jednej drukarni

Kilka lat pracował Franklin w drukarniach w Filadelfji, a kształcąc się bezustannie zdobył tyle wiedzy, że umiał więcej, niż przeciętny student uniwersytetu, sam też nauczył się po francusku i hiszpańsku.

Ponieważ wówczas przemysł w Ameryce nie stał jeszcze tak wysoko, jak w Anglii, wyjechał na czas jakiś do Londynu i tam kształcił się dalej i w swoim zawodzie i w naukach.

Wróciwszy do Ameryki, pracował dalej. Nigdy nie stracił chwili ani grosza na rozrywki, ani przyjemności i tak doszedł do własnej drukarni, potem założył skład przyborów piśmiennych, papiernię i redagował bardzo poważne pismo. A pomimo, że był redaktorem i właścicielem tylu przedsiębiorstw, każdą najprostszą pracę spełniał bardzo chętnie, i często widziano go, jak sam woził papier wózkiem do sklepu, to też w Filadelfji mówiono, że Franklin pierwszy w mieście wstaje do pracy i ostatni od niej odchodzi.

Zdobywszy z takim trudem stanowisko i majątek, chętnie dopomagał każdemu, kto chciał uczciwie i gorliwie pracować. To też nie tylko Filadelfja, ale i całe Stany otoczyły go najwyższym szacunkiem i wszystkie Stany radziły go się we wszystkich ważnych sprawach.

Prawie nie do uwierzenia wydaje się, ażeby jeden człowiek sam sobie wszystko zawdzięczający mógł spełnić tyle pracy i zdobyć tyle wiedzy, że zasłynął jako jeden z najuczeńszych ludzi swego czasu.

Praca, uczciwość, rozum, zjednały mu niebawem takie uznanie, iż ustaliło się mniemanie, że do czego Franklin przyłoży rękę, wszystko mu się powiedzie. Wzywano go więc wszędzie, gdzie zaczynało jakąś ważną dla państwa pracę, a on na wszystko znachodził radę i czas.

Gdybym chciała wymienić wszystkie jego zasługi i opisać w jaki sposób doszedł do majątku i znaczenia, musiałabym napisać całą książkę. Warto, aby każdy chłopiec w Polsce znał jego życie i postępował jak on.

Takim samoukiem był też wynalazca rozgłośnej sławy, Tomasz Edison, który dziś jeszcze, mimo lat ośmdziesięciu, robi coraz nowe odkrycia i wynalazki, które przed laty kilkudziesięciu zdawały się nieprawdopodobieństwem, a dziś ułatwiają ludziom pracę, przenoszą głos i światło w dalekie przestrzenie, ułatwiają i umilają życie.

Tomasz Edison był też synem bardzo ubogich rodzi-

ców, w szkole uchodził za najlichszego ucznia, gdyż nadzwyczaj bystry jego umysł nie mógł dostosować się do rutyny szkolnej. Błyskawicznie pojmował wszystko, a wszystko co go otaczało, budziło w nim pomysły, które nikomu innemu nie przyszłyby do głowy.

Po kilku miesiącach uczęszczania do szkoły, nauczyciel usunął go, podając w kwartalnym świadectwie taką przyczynę: „zanadto głupi, aby go można zatrzymać w szkole.

Wówczas matka zaczęła go uczyć sama, i odtąd uczył się chętnie, a praca umysłowa stała się dla niego rozkoszą. Próby wynalazków i doświadczenia chemiczne zaczął robić bardzo wcześnie. Mając lat dziesięć urządził sobie w piwnicy małą pracownię chemiczną, do której rozmaite gazy i płyny albo kupował, albo wypraszał u pomocników aptekarskich. A że rodzice nie mogli mu dawać pieniędzy na te chemikalia i potrzebne przyrządy, uprosił ich, ażeby mu pozwolili sprzedawać dzienniki, a on zarobi sobie na potrzebne mu materiały i będzie mógł czytywać tygodniki i pisma naukowe, nie wydając na nie pieniędzy.

Zaczął więc sprzedawać pisma w pociągach, na linii kolejowej między Port Huron a Detroit. Pociąg wychodził o 7-mej rano i wracał o 9-tej wieczorem. Po przeczytaniu pism, zostawało mu dużo czasu, więc w jednym z pociągów bagażowych urządził sobie małą drukarnię i zaczął w pociągu pisać i wydawać małą gazetkę, do której wiadomości zbierał na stacjach lub od podróżnych. Lecz i ta praca niemogła mu wypełnić całego dnia, więc w innym kącie wagonu urządził sobie pracownię chemiczną. Na nieszczęście kawałek płonącego fosforu spadł na podłogę i wagon zaczął się palić, zirytowany maszynista wyrzucił chłopca na najbliższej stacji, pobiwszy go wprzód tak silnie, że biedny chłopiec aż ogłuchł, i od tego czasu miał całe życie słuch przytępiony. Mimo to nadal rozwozi pisma, czyta, drukuje a godziny w których pociąg stoi na stacji spędza na czytaniu dzieł naukowych, z dziedziny fizyki i chemji w bibliotece w Detroit.

Aż pewien przypadek zmienia kierunek jego pracy.

Na stacji kolejowej dziecko telegrafisty wybiegło na

szyny, w chwili, gdy nadchodził pociąg. Edison spostrzegł niebezpieczeństwo, podskoczył, porwał dziecko w ostatniej chwili i uratował mu życie. Wdzięczny ojciec nauczył go telegrafować, a po trzech miesiącach dorywczej nauki, Edison doszedł do tak nadzwyczajnej wprawy, że powierzono mu posadę telegrafisty w Port Hurron. Ponieważ wszystkie pieniądze wydawał na książki, był zawsze tak lichy odziany, że koledzy wyśmiewali się z niego i chcąc mu wyrządzić kawał, dawali mu do przyjmowania depesze, przysyłane przez pewnego telegrafistę, który telegrafował tak szybko, że nikt nie mógł nadażyć przy odbieraniu jego telegramów. Ale Edison uznał, że ów telegrafista był rozpaczliwie powolny i w przerwach w odbieraniu depesz zwykł był śpiewać. Wtedy spostrzegł, że drgania jego głosu wprawiało w drganie drut metalowy, którego dotknięcie wywołały w jego palcu takie uczucie, jakby go kto ukuł.

To był początek jego odkryć siły elektrycznej i wynalazków, z tego doświadczenia powstał fonograf, potem gramofon, a przyrządy te, które dziś są tak rozpowszechnione, wówczas wydały się czemś tak nadzwyczajnem, że nawet uczeni uważali je początkowo za oszustwo.

Od tego czasu wynalazki Edisona tak się mnożyły, że dziś przekroczyły liczbę tysiąca.

Taka młodzież wyrastała wśród trudnych warunków osadnictwa amerykańskiego. Dzieci osadników nie rozba-
wiane, nie pieśczone, zahartowane fizycznie, patrząc na wyęzającą pracę rodziców, uczyły się same sobie radzić; wcześniej zaprawiały się do pracy, do samoistnego zdobywania czy to majątku, czy wiedzy, a jeżeli którzy z nich mieli umysł wyjątkowo uposażony, to wyrabiali się na takich dzielnych i rozumnych ludzi, jakich gdzieindziej nie spotyka się prawie.

W świecie lodów

Napisawszy list do ciotki mieszkającej w Chicago, rozłożyłam mapę, przedstawiającą całą kulę ziemską.

Byliśmy już w Azji, Australji, Afryce, z Ameryki będę miała wiadomości od ciotki, a teraz... teraz wartoby zobaczyć, jak żyje młodzież w tej stronie ziemi, gdzie prawie cały rok panuje zima, gdzie mrozy dochodzą do pięćdziesięciu stopni, gdzie całe miesiące trwa jedna, długa nierozjaśniona najsłabszym promykiem słońca noc, gdzie nigdy nie zieleni się rola, nie kwitnie żaden kwiatek, gdzie ludzie chronią się od zimna w domy z lodu.

Gdy o tem myślałam, wszedł mój braciszek, a dowiedziawszy się jaki mam plan, rzekł śmiejąc się:

— Moja siostra ma wspaniałą fantazję. Od Murzynów wprost do Eskimosów, z pod równika — pod biegun północny! Niemam nic przeciwko temu, a więc wyjeżdżamy jutro rano.

W ciągu paru dni przelecieliśmy nad Hiszpanją, Francją, Wielką Brytanią, a stąd ruszyliśmy do Islandji, kraju dziwnie sennego i smutnego.

W Islandji zaopatrzyliśmy się w bardzo ciepłą odzież: kupiliśmy obuwie, spodnie, kurtki, czapki, rękawiczki, wszystko z futra lisów północnych i ruszyliśmy na zachód do Grenlandji.

W Islandji poznaliśmy pewnego Szweda, wnuka polskiego powstańca, który uciekając przed prześladowaniem rządu rosyjskiego wyemigrował do Szwecji, tam ożenił się z Szwedką, ale syna wychował w duchu polskim, a i wnuk jego, choć nie widział kraju ojczystego, czuł się Polakiem i mówił wcale dobrze po polsku. Polecenie do niego dostaliśmy od panny Wandy Pomian Hajdukiewiczówny, również córki emigranta Polaka, a matki Szwedki.

Dziadek owego pana, mieszkającego część roku w Islandji przybrał za nazwisko herb rodzinny i nazwał się Rogala. I wnuk nosił to nazwisko.

Pan Rogala przyjął nas serdecznie i zapytał:

— A czy w waszym samolocie jest miejsce na jeszcze jedną osobę?

— Jest, jest, — zawołał brat. — Czyżby Pan był tak dobry i polecał z nami?

— Bardzo chętnie. Często bywam w Grenlandji, znam język tamtejszych ludzi, kupuję u nich futra, puch kaczek edredońskich, a natomiast zawożę im strzelby, przedmioty z żelaza i drzewa, które oni cenią bardzo wysoko. Czy samolot wasz uniósłby trochę tych rzeczy, wybiorę co najlżejsze i najdrobniejsze jak: noże, nożyczki i trochę mocnych a lekkich kijów, które mają dla nich wartość nieocenioną, a i wam radzę zabrać brochę takich drobiazgów. Zabawimy tam krótko, jeden dzień wystarczy na powierzchowne poznanie tego świata. Zresztą nie przyzwyczajeni do klimatu i warunków życia Eskimosów nie wytrzymalibyście tam długo. Czas teraz sprzyjający. W Europie jeszcze lato, a tam zaczyna się zima i noc trwająca trzy miesiące. Mrozy teraz nie są jeszcze najcieńsze.

Otuleni szczelnie w futrzane ubrania, wystawiwszy oczy, usta i otwory nozdrzowe, ruszyliśmy w drogę.

Gdy dotarliśmy do Grenlandji, do kraju, który niewiedzieć dlaczego tak się nazywa, bo wyraz Grenlandji oznacza kraj zielony, a tam nigdy niema zieleni, ujrzelśmy same lody i śniegi. A choć była noc, to było prawie jasno, tak ostro świeciły gwiazdy.

Nadlecieliśmy nad grupę niewielkich śniegowych pagórków, wznoszących się obok siebie, a każdy z nich obniżał się w jedną stronę i kończył się jakby długą szyją.

Pan Rogala powiedział:

— Wam pewno zdaje się, że to pagórki śnieżne, a to są domy Eskimosów, zbudowane z wielkich brył zmarzniętego śniegu. Nad jamą wykopaną w ziemi, Eskimosi ustawiają w krąg ściany z brył śniegowych, kładą je na sobie tak, że im wyżej, tem bardziej je ku sobie zbliżają, aż utworzy się rodzaj sklepienia. Szpary zatykają śniegiem, ubi-

jają dach na całym budynku, a mróz spaja pojedyncze części budowy. W tych lodowych pałacach nie ma drzwi, ani okien. Do środka prowadzi długi korytarz, tak niski, że ludzie wchodząc do mieszkania, muszą się kłaść na ziemi i pełzać na czworakach. W górnej części sklepienia tych domów jest rozpięty kawałek błony wielorybiej, która przepuszcza do wnętrza trochę światła, ale w zimie tego światła jest bardzo mało, a gdy mrozy zelżą, gdy lodowy pałac zacznie tajać, wtedy Eskimosi go opuszczają, a przeniosą się do skórzanych namiotów. Budowa takiego domu lodowego trwa krótko, w parę godzin budynek gotów.

Gdy nas spostrzeżono, wnet z lodowych domów wysunęło się kilku Eskimosów, przypatrując się samolotowi. Opuszczaliśmy się powoli, brat i pilot upatrywali miejsca dogodnego do wylądowania.

Gdy zeszlśmy na ziemię, pan Rogala powiedział najbliższemu stojącemu Eskimosowi, że przyjechaliśmy z bardzo dalekich stron, chcąc zobaczyć ich kraj i poprosił, żeby gospodarz pozwolił nam wejść do swego domu, a zato brat da im doskonały nóż, a ja duże, mocne, nożyczki.

Obietnica tak wspaniałych darów podziałała. Gospodarz powiedział krótko:

— Wejdźcie!

Odchylił zasłonę zakrywającą otwór wchodowy, która chroni od wiatrów i nie wpuszcza do wnętrza zimnego powietrza, a zasłona to bardzo kosztowna, bo ogromne futro białego niedźwiedzia.

Otrzymawszy zaproszenie położyliśmy się na ziemię grzbietem do góry i na sposób Eskimosów wpełzaliśmy do wnętrza przez długi niski korytarz.

Choć na polu zimno dochodziło do czterdziestu stopni, w tym domu lodowym było prawie ciepło i taki tam był zaduch, że ledwie mogliśmy oddychać.

W tej niskiej, ciasnej norze mieszkała rodzina razem z szczeniętami, psy pociągowe leżały osobno wkopane w śnieg.

Obejrzałam się dokoła. Nie było tu żadnych sprzętów, tylko pod ścianami ubite ze śniegu ławy i przykryte najkosztowniejszymi futrami białych niedźwiedzi, srebr-

nych i niebieskich lisów, które służą eskimosom za posłanie i przykrycie, ławy te nazywają się kolopust. W środku tej lodowej izby wisiał kocioł przymocowany do sklepienia, a w nim gotował się tran z wieloryba, czy foki. Oparte o ściany stały narzędzia myśliwskie i rybackie. a więc: drągi, oszczepy, sieci. Dokoła ogniska tuliły się szczenięta i siedzieli ludzie. W izbie tej panował zaduch nie do zniesienia. Mięszały się tam wyziewy ludzkie, psie, swąd palącego się tranu, wędzonego i gnijącego mięsa fok i niedźwiedzi. Koło ognia siedziało kilkoro ludzi: dwóch mężczyzn, jedna kobieta, chłopiec i dziewczynka. Jeden mężczyzna naprawiał narzędzia rybackie, drugi obrabiał oszczep do polowania na niedźwiedzie i wieloryby, dziewczynka nakłuwiała zapomocą szydła dziurki w skórze, z której matka szyła odzież ścięgnem z jakiegoś zwierzęcia.

Do sufitu na wmarzniętym w lód pasku skórzanym wisiał worek skórzany. To kołyska dziecka. Ciepło mu w niej, choć na polu taki mróz. Dziecko zapłakało, matka wstała, i wydobyła z kołyski swoje maleństwo. Twarzyczka jego choć szeroka, ale miłutka i biała, gdy dziecko zacznie w lecie razem z innymi dziećmi biegać po powietrzu, żółknie i ściemnieje mu liczko.

Troskliwa matusia wydobywszy dziecko, przytuliła je do piersi, nakarmiła, a potem zdjęła z niego sukienkę i długo lizała językiem swój skarb, całkiem tak, jak kocia mama liże kociątko. Wylizała mu zasklepione ze snu oczęta, wylizała rączki, nóżki i całe ciało. Cóż ma biedaczka robić, kiedy niema wanienki, mydła, prześcieradła, ani ręcznika. Umywszy maleństwo, wyczyściła sukienkę uszytą ze skóry edredońskich kaczek. Sukienkę włożyła w ten sposób, że piórka dotykały ciała dziecka, a skóra była na wierzchu. Miękka to, ciepła i miła a kosztowna sukienka, bo kaczki grenlandzkie gnieźdzą się w skałach nad stromymi przepaściami, więc zdobywa się je z wielkim trudem, a w Europie i Ameryce płaci się za ich puch albo futerko, bardzo drogo. Umywszy tak i ubrawszy dzieciątko, włożyła je znowu do kołyski.

Dziewczynka tymczasem wzięła robotę matki i w prze-

klute dziurki wsuwała ścięgną i zszywała skórę. Niewykwintną tę robotę może spełniać każde, nawet małe dziecko.

— Biedni ludzie, biedne dzieci — szepnęłam do pana Rogali — jak oni mogą żyć w takich warunkach?

Nie znają innych, więc życie to wydaje im się dobre i mile. Gdy mróz zelży a ludzie opuszczają swe domy lodowe, zwane igloo i przeniosą się do futrzanych namiotów, dzieci będą biegały i bawiły się wesoło. Gdy znajdą kawałek kości, lub drzewa wyrzuconego przez morze, robią sobie saneczki i będą się wozily na wolnem powietrzu, które i w lecie nie podniesie się do zera.

Nie mogąc wytrzymać w wnętrzu igloo, wyszliśmy na powietrze, a wsunawszy się w samolot, zapaliliśmy spirytus w małym piecyku, który mieliśmy z sobą, ugotowaliśmy buljon, herbatę i ogrzali konserwy. Podczas gdy jedliśmy, zeszli się ludzie, starsze dzieci i подростки, przypatrując się nam ciekawie. I ja im przypatrywałam się także.

Eskimosi — to ludzie małego wzrostu, ale krępi i silni, głowy ich duże, podługne, twarze szerokie, płaskie, nosy także płaskie, jakby wciśnięte w twarz, oczy osadzone trochę ukośnie, włosy czarne, twarde, zarost twarzy słaby, skóra żółto brunatna, nogi i ręce małe.

I dzieci i starsi, mężczyźni i kobiety, ubrani w futrzane buty, spodnie i kurtki przylegają ściśle do ciała, na głowach mieli futrzane kaptury.

Gdy tak przypatrywaliśmy się sobie nawzajem, pan Rogala opowiadał nam o życiu i zwyczajach Eskimosów. Nazwa Eskimos oznacza ludzi jedzących surowe mięso, sami siebie nazywają oni Innuít t. j. ludzie. Mężczyźni pracując ciężko, narażeni na niebezpieczeństwa w walce z niedźwiedziem polarnym, wielorybami, żyją krótko, mało który dochodzi do lat pięćdziesięciu, kobiety zajęte pracą w domu dożywają starości. Głównem zajęciem Eskimosów jest polowanie na psy morskie, wieloryby, niedźwiedzie, fok, reny, które to zwierzęta dostarczają im wszystkiego, co im do życia potrzebne: futer na odzienie, tłuszczu na światło i mięsa na pożywienie. Ulubionym ich przysma-

kiem jest mięso psa morskiego i tran, z kości wyrabiają sianie, sprzęty, naczynia, futer używają na posłanie, przykrycie i odzież. A polowania te w braku broni palnej są bardzo uciążliwe i niebezpieczne. Na wieloryby i niedźwiedzie polują tylko z oszczepem. Gdy reny podczas lata podchodzą w górę, a przed zimą schodzą na południe Eskimosi chwytają je, zabijają i zakopują mięso na zimę, ze skóry robią odzież, z ścięgien sznury i nici do zszywania skór. Skórą wielorybów obijają czółna, kości ich używają na budulec, zamiast belek do letnich domów ubijanych z torfu. Jedyne ich zwierzęta domowymi są psy polarne, które służą do zaprzęgu. Psy te, żywione wyłącznie surowym mięsem, są dzikie i niesforne i trzeba siły i umiejętności do utrzymania ich w korbach.

W lecie żywią się Eskimosi ptactwem, szczególnie dzikami kaczkami i gęśmi, na które polują chłopcy.

Eskimosi nie mają wodzów ani naczelników, wszyscy są sobie równi. Doświadczeńsi i silniejsi kierują pracą. Wierzą w Boga stwórcy wszech rzeczy, którego małżonka jest siłą niszczycielską, wierzą też w życie zagrobowe. Najważniejszą osobą w osadzie jest Angekok, coś w rodzaju czarodzieja, który zamawia złe siły, odpędza choroby, wróży.

— A jak żyją i co robią dzieci Eskimosów i ich młodzież? — zapytałam pana Rogalę.

— W naszym pojęciu — odpowiedział zapytany — dzieci Eskimosów umieją bardzo mało, bo nawet starsi umieją liczyć tylko do dziesięciu, to jest do ilości palców u rąk. Nie wiedzą ile mają lat, bo takiej wielkiej ilości nie znają, co ponad dziesięć, to jest wiele, bardzo wiele. O nauce czytania i pisania mowy tam niema. Ale chociaż dzieci Eskimosów nie chodzą do szkoły, to jednakże uczą się dużo, bo przecież każdy Eskimos musi sam dla siebie i swojej rodziny zdobyć wszystko, czego im do skromnego życia potrzeba. Musi sam co roku zbudować dom letni i zimowy, musi nawet zdobywać materiał na ten dom; ubranie i żywność musi także każdy sam sobie zdobyć i sporządzić.

To też dzieci zaczynają tam wcześniej pracować na

własne utrzymanie. Zaledwie nauczą się chodzić i władać rękami, to już pomagają rodzicom w pracy. Widziała pani, że w lodowym domu dziewczynka pomagała matce szyć odzienie. Do dziewczynek należy też utrzymywanie w porządku lamp oświetlających wnętrza mieszkań, w których świeci się tran. A gdy nastaną miesiące letnie, pójdą szukać porostów i mchów, co rosną pod śniegiem, będą je moczyły, suszyły, proszkowały, i zrobią z nich ulubione placki — jedyną potrawę z roślin, jakie w tych okolicach znają.

A jakkolwiek Eskimosi nie są wybredni w jedzeniu, to jednak potrzebują jeść bardzo dużo. Tem, co zje mały Eskimos w ciągu dnia, Europejczyk żyłby cały tydzień. Dziecko eskimoskie potrafi zjeść w ciągu dnia pół kopy ptasich jaj; kilka ptaków, parę funtów mięsa foki, lub renifera, wypić kilka kubków mleka reniego i tranu, który uważa za najlepszy przysmak.

Mali chłopcy i dziewczęta bawiąc się naśladową roboty rodziców, a więc budują małe domki ze śniegu i lodu, sporządzają małe saneczki, małe czółenka.

Ale gdy chłopiec podrośnie, musi pracować nie na żarty. Nasamprzód uczy się nastawiać sidła i zatraski na lisy, uczy się łowić w siatki ptaki, gnieźdzące się na urwiskach skał, i wydobywać z gniazd jaja, a to rzecz trudna i bardzo niebezpieczna, jeden źle postawiony krok, a chłopak pada w przepaść i łamie kości lub ginie.

Gdy tylko minie kilkomiesięczna noc co u nich nazywa się porą wiosenną, wszyscy zabierają się żywo do roboty. Mężczyźni i starsi chłopcy idą na polowania, bo zapasy zimowe się skończyły i trzeba robić zapasy futer i mięsa na przyszłą zimę.

Wtedy chłopak siada z ojcem na sanki i uczy się polować.

Sanki te zrobione z drzewa, wyrzuconego przez morskie fale, obite są skórą, a Eskimos zaprzęga w nie psy polarne.

Zaprząg taki bywa bardzo długi, bo zaprzęgają czasem do dwudziestu psów. Kierować takim zaprzęgiem nie jest łatwo. Psy eskimosów wiecznie głodne, żywione tylko

mięsem, są na wpół dzikie, to też sprawa z nimi nie łatwa. Niech tylko zobaczą coś, co da się gryźć, to już się wyrwywają, skomlą, wyją, skręcają się, płaczą zaprzęg, zbijają się w niesformą kupę, przerywają uprząż. Chłopiec kieruje batem, na sześć do ośmiu metrów długim. Nasamprzód nim trzaska, a gdy to nie pomaga, zakreca nim zręcznie i uderza zwierzęta, czem je poskramia i zmusza do biegu. Zanim nabierze w tym kierunku wprawy, musi się dobrze napracować — a nauczyciele nie szczędzą mu szturchańców i razów.

Gdy chłopak ma lat dziesięć, dostaje na własny użytek kajak. Kajak, jestto czółno długie, wąskie, obite skórą



wewnątrz i zewnątrz także — pośrodku jest otwór, wewnątrz futro niedźwiedzie lub lisie. W tem czółnie chłopak puszcza się na morze, na łowy. Jeżeli zapędzi się daleko, jeżeli przed nocą nie wróci, może się wsunąć w środek czółna i spać. W takim kajaku płynie na połów ptaków, ryb, zdarza się często, że spotka się z białym niedźwiedziem, a gdy nie zdoła przed nim uciec, to staje się jego łupem.

Egzaminem dojrzałości młodego Eskimosa jest polowanie na fokę. Gdy młodzieniec upoluje fokę sam, bez niczyjej pomocy, uważają go za takiego, który może założyć własne ognisko. A polowanie to wcale nie łatwe.

Foka jest zwierzęciem ssącym, i musi od czasu do czasu oddychać powietrzem. W tym celu foki robią sobie w lodzie małe otwory, do których podpływają dla zaczerpnięcia powietrza.

Chłopak musi nasamprzód wyszukać taki otwór, potem kładzie się na lodzie i leży cichutko, żeby nie zdradzić swej obecności najlżejszym ruchem. Leży tak czasem całemi godzinami, czekając na zwierzę. A gdy już foka podpłyne, musi ją zręcznie przebić harpunem i wyciągnąć na wierzch, co jest trudną pracą i wymaga dużej siły.



Jest też i drugi sposób łowienia fok. Człowiek owija się w skórę zabitej foki, głowę jej zostawiając przy futrze i tak odziany, udaje fokę. Zwierzę nie przeczuwając podstęp, wypływa do swojej krewniaczki — tymczasem człowiek ubrany w skórę, zabija oszukane zwierzę.

Trudniejsze jeszcze jest polowanie na niedźwiedzie, zwłaszcza, że mało który Eskimos posiada strzelbę. Eskimos wbija często w rękojeść drewnianą nóż i z taką bronią, rzuca się na niedźwiedzia. Młodzieniec upolowawszy pierwszą fokę i pierwszego niedźwiedzia, zaprasza na ucztę całą osadę.

Członkowie rodziny, a nawet całej osady eskimoskiej, żyją z sobą w wielkiej zgodzie, pomagając sobie w wszel-

kiej pracy i w potrzebach, ratują się wzajemnie w niebezpieczeństwie. A chociaż Eskimosi stoją na bardzo niskim stopniu kultury, są ludźmi dobrymi, łagodnymi, nikt tu nikomu nie kradnie, nikomu nie robi krzywdy.



Gdy tak rozmawialiśmy, a cała osada dowiedziała się, że przyjechali ludzie z za morza, powychodziło sporo Eskimosów z swoich lodowych domów, a gdy dowiedzieli się,

że mamy z sobą noże, nożyczki, rozmaite narzędzia żelazne i drewniane kije do siatek na ptaki, poznosili nam rozmaite futra, za które chcieli dostać owe skarby. Pan Rogala zakupił kilkanaście kilogramów puchu edredońskiego, kilka srebrnych i niebieskich lisów. Mnie za tuzin bardzo grubych igieł, nożyk i nożyczki, ofiarowano futro dwóch srebrnych lisów, brat mój za kilka twardych, drewnianych dragów, młotek, obcęgi i siekierę, dostał wspaniałe futro białego niedźwiedzia.

Ponieważ nic więcej nie spodziewaliśmy się zobaczyć, ani niczego dowiedzieć, a nie mieliśmy odwagi spędzić nocy w igloo razem z rodziną Eskimosów i szczeniętami, pożegnaliśmy zebranych. Ja wszystkim dziewczętom rozdałam po igłę i po kawałek czerwonej wstążki, a brat obdarował chłopców prostymi nożykami i wśród radosnych okrzyków tubylców, usiedliśmy do samolotu i odlecieliśmy na wschód.

Na północnych krańcach Europy

Gdy wsiadaliśmy do samolotu, pan Rogala zapytał:

— A teraz, gdzie państwo macie zamiar pojechać?

— To zależy od mojej siostry, której obiecałem, że ją powiozę, gdzie zechce — powiedział mój brat, a ja dodałam:

— Wrócimy już do Polski, brat mój i tak już mi ofiarował bardzo dużo czasu. Przelecieliśmy nad całą prawie kulą ziemską. Zresztą życie dzieci i młodzieży w Europie, nie przedstawia takiej różnorodności. Prawie wszędzie w tej części świata, młodzież wychowuje się w podobnych warunkach i żyje mniej więcej na jednym stopniu kultury.

— Nie tak bardzo — odpowiedział pan Rogala — większa jest różnica między sposobem życia np. w Laponji, położonej w północnej części półwyspu Skandynawskiego, a w południowych Włoszech, aniżeli między Eskimosami a Lapończykami.

Radziłbym więc zaglądnąć do Laponji, a i dzieci holenderskie wychowują się w tak odrębnych warunkach, że warto poznać ich życie.

Zanim mogłam odpowiedzieć, mój brat zapytał:

— A pan gdzie teraz się wybiera? — Czy zostaje pan w Islandji?

— Nie, teraz wybieram się na parę miesięcy do Szwecji, ale przedtem pojadę do Holandji, gdzie pewnemu kupcowi sprzedam puch i futra, nabyte tego roku w Grenlandji.

— Dużo pan tego ma? — zapytał znowu brat.

— Około pięciu ton.

— Jestto ciężar, który nasz samolot może udźwignąć — rzekł brat — prosimy więc z nami.

— Dobrze — rzekł pan Rogala — a ja wywdzięczając się państwu, przeprowadzę was przez Skandynawię i za-

poznam z życiem młodzieży żyjącej w Holandji, bo kraje te znam dobrze.

Nazajutrz dojechaliśmy do Islandji, a przespawszy się w mieszkaniu pana Rogali i wypocząwszy nieco, ruszyliśmy dalej na wschód.

Doleciawszy do północnej Skandynawji, przekonałam się, że pan Rogala miał słuszość mówiąc, że kraj ten podobniejszy jest do Grenlandji niż do Włoch, a życie tamtejszej ludności podobniejsze do życia Eskimosów, aniżeli do życia mieszkańców południowej, a nawet środkowej Europy.

W środkowej Europie było jeszcze ciepło, jeszcze śliwy, grusze, jabłonie, obciążone były owocami, a tam ziemia była okryta śniegiem i lód ściał wody, reny całemi stadami wędrowały na południe, a za nimi ciągnęli ludzie, odziani w futra.

— Oto Laponja — powiedział pan Rogala. — Pani pewno nie chciałaby żyć w tej ubogiej krainie, gdzie rosną ledwie brzozy i karłowate sosny, gdzie ludzie muszą stosować się do woli renów i iść tam, gdzie tym zwierzętom się podoba, a jednak Lapończycy utrzymują, że niema miłszego i piękniejszego kraju, jak ich kraj, i niechcieliby mieszkać gdzie indziej.

Patrząc z góry, zobaczyliśmy w pewnych odległościach małe osady, ni to wsie, ni miasteczka, składające się z kilkunastu chat i niskich szop. Wylądowaliśmy i zaglądaliśmy do jednego takiego gospodarstwa. Szopy zbudowane z kamienia, nie miały ani drzwi ani okien, a otwierały się z góry, jak skrzynie i kufry. Budują je tak, aby do nich nie wtargnęły niedźwiedzie, albo inni nieproszeni goście.

Chaty w północnej Laponji są niskie, małe, okna umieszczone bardzo wysoko, niewiele światła wpuszczają do wnętrza. W środku izby znajduje się olbrzymi piec, dokoła którego zasiadają mieszkańcy, grzejąc zziębnięte członki. Tu mężczyźni sporządzają swoje narzędzia i sprzęty, tu kobiety szyją ubrania i przyrządzają pożywienie. Pomiedzy skromnymi sprzętami, uwagę naszą zwróciła kołyska zbyt kownie urządzona, której pozazdrościłaby Laponce niejedna mama, mieszkająca w bardziej ucywilizowanych krajach.

Kołyska ta zrobiona z drzewa, miała kształt chodaka i była pracowicie wyrzeźbiona. Wyścielona była puchem edre-
dońskim i przykryta ślicznem futrem białego niedźwiedzia.
Takie kołyski matki zawieszają sobie na plecach, wychodząc z domu, lub namiotu i w nich noszą dzieci.

Do chat tych zaglądają Lapończycy tylko od czasu do czasu, a w szopach składają swój dobytek, t. j. skóry renów i innych zwierząt, wędzone albo zamrożnięte mięso, narzędzia służące do rybołówstwa, bo sami prowadzą po większej części życie koczownicze.



Lecąc dalej, spostrzegliśmy rodzinę lapońską, zdążającą za renami, lecieliśmy za nimi powoli, nareszcie wyładowaliśmy.

Rodzinę tę widzicie na obrazku. Na smagłych, ściemniałych od ostrego wiatru szerokich ich twarzach, występują silnie policzkowe kości, nosy mają spłaszczone, oczy wąskie, z zaczerwienionemi powiekami, brody mężczyzn prawie bez zarostu. Nogi mają krzywe, stosunkowo krótkie, zato ręce silne, żylaste i długie. Ubrani są w fu-

trzone kurtki, spodnie i buty, także z futra zrobione. Ojciec prowadzi rena, na którym siedzi malec ubrany w futro, starsze dziecko idzie obok, ale najmniejsze, takie, co jeszcze chodzić nie umie, matka niesie na plecach w drewnianej kolebce. Idą do swego przenośnego domu, to jest do namiotu skleconego na prędcie, rozpiętego na drągach związanych u góry i pokrytego skórami renów. Podłoga w nim zarzucona szpilkowymi gałązkami, zaścielona skórami, na tych skórach śpią. Pośrodku namiotu na żelaznym łańcuchu wisi kociołek, w nim gotują mięso rena, warzą ser.

W pogodny czas nikt nie siedzi w namiocie, ale gdy pada deszcz lub śnieg, cała rodzina obsiada ognisko, a wtedy wyrzynają z kości lub drzewa rozmaite przedmioty, zszywają skóry renów igłami z ich kości i nićmi z reniferowych ścięgien.

Reny, jedyny dobytek Lapończyków, dostarczają im wszystkiego: pożywienia, odzienia, mieszkania, sprzętów. Reny zaprzężone do sanek, albo też jako zwierzęta juczne, przewożą ich i ich dobytek, same zaś nie wymagają niczego, bo żywią się mchem, zwanym chrobotkiem renożywnym, który wyskubują z pod śniegu. Gdy w pewnej okolicy wyjedzą mech, ruszają dalej, a za nimi, zwinawszy swe namioty, idą ich właściciele.

Niektórzy Lapończycy mają bardzo liczne stada renów, po kilkaset zwierząt liczące, ci dzielą je na mniejsze stadka, nad którymi czuwają dzieci. Mały Lapończyk ma nieraz pod opieką stado liczące ośmdziesiąt do dziewiędziesięciu renów, którym kieruje doskonale, biegając tu i tam na krzywych nogach, nawołując głośno gardłowym głosem i wywijając grubym biczkiem.

Sławną szwedzką autorką Selma Lagerlöff, w książce pod tytułem: „Cudowna podróż na dzikiej gęsi“, pisząc o Lapończykach i ich dzieciach, opowiada taką historję:

Pewna dziewczynka szwedzka zawędrowała do Lapończyków, przyglądała się ciekawie ich namiotom, narzędziom, narzędziom i dziwiła się sposobowi życia, jakie prowadzą ci ludzie. Wówczas chłopiec lapoński Astak, który chodził do szkoły i umiał po szwedzku, opowiedział

jej o życiu swego ludu i zapewniał ją, że Lapończykom jest lepiej niż wszystkim innym ludziom. Dziewczynka przeciwnie uważała, że Lapończykom jest strasznie źle i powiedziała to chłopcu.

— Nie wiesz co mówisz, rzekł Astak — pozostań tylko przez tydzień u nas, a zobaczysz sama, że jesteśmy najszczęśliwszym ludem na ziemi.

— Gdybym tutaj została przez tydzień, z pewnością udusiłabym się od dymu w waszym namiocie — powiedziała dziewczynka.

— Nie mów tak — odrzekł mały Lapończyk, ty przecież nic o nas nie wiesz. Opowiem ci historję, która cię



przekona, że im dłużej przebywałabyś z nami, tem bardziej podobałoby ci się tutaj i opowiedział jej podanie lapońskie, które i ja tu przytoczę:

„W bardzo dawnych czasach wielka choroba zwana czarną śmiercią pustoszyła cały kraj. Lapończycy, którzy mieszkali w lasach i górach Jutlandji, wymarli wszyscy, oprócz jednego chłopca, a ze Szwedów zamieszkujących doliny pozostała jedna jedyna dziewczynka, licząca około czternastu lat.

Chłopiec i dziewczyna wędrowali przez całą zimę po wymarłym kraju, poszukując innych ludzi, aż wreszcie na wiosnę spotkali się ze sobą. Wówczas dziewczynka szwedzka prosiła chłopca lapońskiego, aby poszedł z nią dalej

na południe, gdyż ona chce się dostać do swoich, bo nie chce być dłużej w Jutlandji, gdzie spotyka tylko same opuszczone i wymarłe domostwa.

— Zaprowadzę cię, gdzie zechcesz — rzekł chłopiec, lecz nie przed zimą. Teraz jest wiosna, moje reny ciągną na zachód w góry, a wiesz przecie, że my Lapończycy musimy iść tam, gdzie nas nasze reny prowadzą.

Dziewczynka szwedzka była dzieckiem bogatych rodziców; przyzwyczajona była mieszkać w domu, spać w łóżku, jeść przy stole nakrytym białym obrusem. Dotychczas pogardzała zawsze ubogim ludem górskim i sądziła, że ludzie, którzy śpią pod gołym niebem, muszą być bardzo nieszczęśliwi. Ale bała się powrotu do swego kraju, w którym wszystko wymarło.

— Więc pozwól mi przynajmniej pójść z tobą w góry — rzekła do chłopca — nie zostanę sama tutaj, gdzie nigdy nie słyszę ludzkiego głosu.

Chłopiec zgodził się chętnie i wyruszyli wraz z renami w góry. Stado dążyło do bujnych pastwisk górskich i przebywało codziennie wielkie przestrzenie. Nie było więc czasu na rozbijanie namiotu, tylko w tych godzinach, kiedy reny zatrzymywały się, chłopiec i dziewczynka mogli się rzucić na śnieg przykryty skórą i przespać się trochę.

Zwierzęta czując wiatr południowy, podnoszący im sierść, wiedziały, że za kilka dni wiatr ten zmiecie śnieg ze stoków górskich. Chłopiec i dziewczynka musieli biec za nimi po topniejącym śniegu i załamującym się lodzie. Kiedy nareszcie przybyli wysoko w góry, tam, gdzie las iglasty się kończył i zaczynały się karłowate brzozy, odpoczywali przez kilka tygodni, dopóki nie stopniał śnieg na najwyższej górze; poczem wyruszyli znowu wyżej ku północy.

Dziewczynka jęczała i narzekała na zmęczenie, mówiąc często, że chce zawrócić i iść z powrotem w doliny, a jednak wołała już iść dalej, niż wracać do samotności, w której nie było ani jednej żywej duszy.

Kiedy wreszcie dotarli do polany górskiej, chłopiec rozpiął namiot w pięknym zielonym miejscu o łagodnym spadku nad strumykiem górskim. Gdy wieczór nadchodził,

chłopiec chwycił reny zapomocą sznura, doił je i dawał dziewczynie mleko do picia. Znalazł także trochę sera i suszonego mięsa reniferowego, które jego rodacy zo-



stawili tutaj zeszłego roku. Lecz dziewczynka narzekała ciągle i nic nie mogło jej zadowolić. Nie chciała jeść su-

szonemu mięsa, ani pić reniferowego mleka i nie mogła się przyzwyczaić do sypiania na ziemi albo na posłaniu z gałęzi i skóry reniferowej. Ale syn ludu górskiego śmiał się z jej narzekań i był dla niej zawsze dobry i przyjazny.

Po kilku dniach dziewczynka podeszła do chłopca dojącego reny i zapytała, czy może mu pomóc. Odtąd i ona rozpalala ogień pod kociołkiem, kiedy trzeba było gotować mięso, i robiła ser. Teraz rozpoczęły się piękne czasy dla obojga. Było ciepło i o pożywienie było łatwo. Urządzali razem sidła na ptactwo, łowili pstragi w strumieniu i zbierali jagody na mokradłach.

Z końcem lata wyruszyli z gór w dół na pogranicze między lasami iglastymi a liściastymi i rozbili tam swój namiot. Była to pora zarzynania bydła i musieli codziennie ciężko pracować, ale były to jednocześnie dobre czasy, gdyż teraz było jeszcze łatwiej o pożywienie niż w lecie.

Gdy zaczął padać śnieg, a jeziora pokrywały się stopniowo lodem, dzieci schroniły się na wschód do gęstych borów. Urządziwszy sobie namiot zabrały się do robót zimowych. Chłopiec nauczył dziewczynkę kręcić nici z ścięgien reniferów, wyprawiać skóry i szyć z nich odzież i obuwie, wyrabiać grzebienie i narzędzia z rogów reniferowych, a potem biegać na nartach i powozić saniami zaprzężonemi w renifery.

Nareszcie dnia jednego chłopiec powiedział do dziewczynki, że odprowadzi ją na południe, aby odnalazła swych rodaków.

Lecz dziewczynka spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Dlaczego chcesz się mnie pozbyć? — zapytała. — Czy pragniesz być znowu sam ze swymi reniferami?

— Zdawało mi się, że chcesz się stąd wydostać — odrzekł chłopiec.

— Teraz, kiedy prawie cały rok żyłam życiem ludu lapońskiego — rzekła dziewczynka — nie mogę już wrócić do moich rodaków. Za bardzo przywykłam do swobodnego wędrowania po górach i lasach, ażebym znowu mogła mieszkać w ciasnych domach. Nie wypędzaj mnie, lecz pozwól mi zostać tutaj, gdyż wasze życie lepsze jest od naszego.

I dziewczynka została przez całe życie razem z chłopcem i nie odczuwała nigdy tęsknoty za życiem w dolinach“.

I my przebyliśmy dzień cały wśród rodziny lapońskiej, a przespawszy się na pachnących gałęziach sosnowych przykrytych skórą renów i napiwszy się mleka, które mi udoiła córka gospodarzy, obdarowałam ją pozostałymi igłami, wstążkami i parą nożyczek i poleciałam dalej.

Nad fiordami

Lecąc w kierunku południowym nad półwyspem Skandynawskim, mieliśmy pod sobą wspaniałe kraje pełne gór, lodu i śniegu. Grzbiet górski ciągnął się wzdłuż półwyspu, zbliżając się bardziej ku zachodowi, który mieliśmy po prawej stronie.

Góry spadały tu gwałtownie ku wybrzeżom morskim, a z nich spływało szybkim pędem mnóstwo strumyków i strumieni, porywających ze sobą górskie kamienie i wpadających do morza. Strumienie te żłobiły urwiska, przepaście, a wyrывая nadbrzeżne skały, tworzyły na wybrzeżu mnóstwo małych, poszarpanych zatok, wdzierających się między skały w głąb kraju, zatoki te zowią tam fiordami. Stoki gór pokryte były wyżej kosodrzewiną, niżej drzewami iglastymi i liściastymi, ale rosły tu tylko brzozy. Osad było bardzo mało.

Kraj ten, to Norwegja.

Na lewo w stronie wschodniej, gdzie góry były bardziej oddalone od morza, doliny były szersze, więcej na nich było łąk i uprawnych pól. A im bliżej południa, tem więcej osad i miast.

Ta strona Skandynawji — to Szwecja.

Zima, szczególnie w północnej Skandynawji jest bardzo długa, a lato krótkie. W zimie noce zaledwie miną, zaczynają się znowu, zato w lecie dnie prawie się nie kończą. Szczególnie w okolicach północnej części Szwecji i Norwegji, zaledwie dobrze zmierzchnie, już dzień zaczyna, wtedy trudno dzieci zapędzić do snu, bo żal im zasypiać w jasny czas. To też w oknach wieszają tam na noc sukienne, czarne zasłony, żeby słońce nie przeszkadzało śpiącym.

Ponieważ większą część roku Skandynawia pokryta

jest śniegiem, przeto najmiłą rozrywką dzieci jest tam ślizgawka, saneczkowanie i wogóle zapasy ze śniegiem.

Przytwierdziwszy do nóg łyżwy, ski, lub też podeszwy duże z siatki sznurkowej, napiętej na owalnej ramce z lekkiego drzewa, harczą po śniegu całymi godzinami.

A owo borykanie się ze śniegiem nie jest u nich li tylko zabawą, ale potrzebą, bo w kraju zasypanym śniegiem przez większą część roku, trzeba umieć walczyć z śniegiem, lodem, zimą. To też nawet w szkołach nauka jazdy na ski, na saneczkach, na łyżwach, jest tam osobnym przedmiotem, z którego dzieci zdają publiczny egzamin, a egzamin ten jest prawie świętem narodowym.

Z całej okolicy przybywają nań mieszkańcy Szwecji i Norwegji, od najbogatszych do najuboższych i przypatrzą się zapasom dzieci, które wobec tysięcy widzów otrzynują nagrody.

I nauka gimnastyki stoi w Szwecji bardzo wysoko, tak, że wszystkie szkoły europejskie wzorują się na Szwecji.

Szkoły szwedzkie są znakomicie urządzone i stoją bardzo wysoko. A jest tam jeden rodzaj szkół, ludowych, jakich niema nigdzie indziej.

W północnej części Szwecji, gdzie osady ludzkie są bardzo rozrzucone po górach, trudno byłoby nawet tym dzieciom, umiejącym tak dzielnie brodzić po śniegu, dostać się przez zaspy śniegowe do szkoły, oddalonej o kilka kilometrów. Więc urządzono tam szkoły wędrownie, wymyślono nawet klasy jeżdżące na kołach, coś takiego jak wozy kolejowe. Klasa zajeżdża w pobliże grupy domów i w niej uczą się dzieci. Gdzie klas takich niema, tam nauczyciel uczy po kilkoro lub kilkanaścioro dzieci, w największej okolicznej osadzie.

W szkołach takich nauka trwa dwanaście tygodni, po czem nauczyciel wyznacza dzieciom czego mają się nauczyć podczas jego nieobecności, a naznaczywszy swego zastępcę na ten czas, jedzie dalej. Gdy na przyszły rok przybędzie tu znowu, przekona się, czy dzieci uczyły się przez ten czas i znowu będzie ich uczył kilka tygodni.

Po miastach są tam wspaniałe i bardzo dobrze urządzone budynki szkolne, a uczą się w nich chłopcy i dziewczęta razem i jedni i drudzy są dla siebie bardzo grzeczni.

Na wakacje dzieci miejskie, których nauka trwa przez cały rok szkolny, cieszą się bardzo. Spędzają je wesoło, przebywając jak najwięcej na wolnem powietrzu, odbywają pieszo dalekie wycieczki, przyczem poznają swoją Ojczyznę, którą bardzo kochają. Słuchają podań ludowych, a trzeba widzieć, że mało który z krajów ma tak piękne podania, jak Szwecja i Norwegja.



Jedna z legend norweskich mówi, że olbrzymy bawiąc się razu pewnego na wysokich szczytach, rzucali ogromne odłamy skał w morze, skutkiem czego woda wchodziła w głąb lądu, który wyrzeźbił się dziko w piękne fiordy.

Rybak norweski opowiada swym dzieciom w długie zimowe wieczory, tak cudowne baśnie, że dzieci pełne podziwu i strachu radeby ich słuchać bez końca. Kto ciekaw poznać niektóre z tych pięknych podań i baśni, nie-

chaj przeczyta „Cudowną podróż na dzikiej gęsi“ Selmy Lagerlöff.

Jeżdżąc łódkami po morzu, uczą się dzieci, szczególnie chłopcy, wiosłować, łowić ryby, a gdy tego zachodzi potrzeba, bardzo już wcześniej zaczynają pomagać rodzicom w pracy. Szczególnie dzieci wieśniaków muszą wcześnie zaprawiać się do pracy i cieszą się bardzo, gdy mogą robić to, co robi ojciec lub matka.

Mała dziewczynka nietylko wyręcza matkę przy gospodarstwie, ale wcześniej uczy się tkać sukno, rada, że z niego będzie ubranie dla ojca i braci. Mali chłopcy ciągną naładowane worki na jarmark i pomagają ojcom w pracy koło domu, w polu i na morzu.

Mimo pracy dzieci mają czas i na zabawy. Znają rozmaite gry, a często przeplatają je śpiewami i tańcami narodowymi.

Dziewczynki, podobnie jak i u nas, lubią się bawić lalkami, uczą je, ubierają, wyprawiają wesela. Przy tej uroczystości zachowują wszystkie starodawne zwyczaje ludu norweskiego i szwedzkiego. Młoda para lalek, przybrana w odświętny strój narodowy, jedzie w wózku prowadzona przez mistrza ceremonji, a za nią podąża orszak przebrany w stroje narodowe.

Bardzo cieszy się tem dziatwa, gdy nadchodzą święta Bożego Narodzenia. W wielu okolicach Norwegji, a prawie wszędzie w Szwecji w czasie tych świąt przybierają domy szerokimi pasami z płótna, na których namalowane są barwnie sceny z życia Chrystusa. Podłogę wyścielają słomą, a na kominku wzniesają duży ogień, który gore przez całą noc, a ma wyobrażać Chrystusa jako światło świata.

Na załączonym obrazku widzicie dwoje dzieci szwedzkich, patrzcie jak wesołe mają oczy, jakie uśmiechnięte twarzyczki.

Gdyby obrazek był kolorowy, zobaczylibyście, że dziewczynka ma błękitną spodniczkę, naszytą kolorowemi wstążeczkami, haftowany fartuszek i pasowy, bogato złotem wyszyty gorsecik; teraz, gdy do nóg przywiązała długie drewniane łyżwy zwane „ski“ i wybiegła na śnieg, wło-



żyła na gorsecik kożuszek, a na głowie zawiązała zręcznie barwną chusteczkę. Oboje dzieci mają płowe włosy i jasne błękitne oczy, tak jasne, jak niebo, co się rozciąga nad nimi.

Na ziemi wydartej morzu

Na ostatek mojej podróży zajechałam do kraju, który zbudził we mnie większy podziw, aniżeli olbrzymie wielomiljonowe państwo chińskie z swoją dziwną kulturą, niż cuda napatrzyłam się w Indochinach, choć to był tylko mały kraj, jeden z najmniejszych w Europie.

Dziwny bo to kraj, niebo nad nim szare, mgliste, ziemia niby jedna wielka warownia otoczona wałami, tamami, groblami, najeżona wiatrakami. Pełno sztucznych mostów łączy tam brzegi rzek, obwarowanych często potrójnymi wałami. Gdy przez rzekę przepływają statki, mosty rozsuwają się w środku, przepuszczają okręty i znowu się zsuwają, a wtedy przechodzą przez nie ludzie, wozy, tramwaje, samochody. W innych znowu miejscach pobudowano drugie sztuczne łożyska dla rzek, czyli kanały, do których w razie nadmiaru wody w właściwej rzece wpuszczają ją do kanałów.

Kraj ten to Holandia, poszukajcie go na mapie, leży nad morzem północnem.

Nazwa Nederland, Holand oznacza kraj położony nisko, głęboko, bo też rzeczywiście Holandia leży niżej od otaczającego ją morza.

Zdawaćby się mogło, że to niepodobieństwo, że morze leżące wyżej od przylegającej do niego ziemi, musi ją zalać i zatopić ludzi mieszkających na niej. I tak byłoby rzeczywiście, gdyby Holendrzy nie zabezpieczyli swej ziemi nadmorskim wałem i silnymi tamami, co jak mury fortecne strzegą jej przed zalemem morza.

Kiedyś cała zatoka Zuidersee była lądem. Ale wyżej położone od niej morze wdarło się w ląd, potworzyło zatoki i oderwało szereg wysp Fryzyjskich i byłoby dalej rabowało Holendrom ziemię, gdyby byli bezradnie założyli ręce i usuwali się przed groźnym napastnikiem.

Ale dzielni Holendrzy stanęli do walki z potężnym wrogiem, a bronili się nie armatami, nie karabinami, nie pałaszami. Ich bronią była motyka, łopata, cement, kamień, piasek.

Nie rycerze obronili ziemię, ale prości murarze. Nie niosły ich w bój rumaki, tratujące po drodze wszystko, co spotkają, ale na bój ten wychodziła co rana rzesza skromnych, ubogich robotników, szła, aż zwyciężyła tak potężnego wroga.

A po zwycięstwie nie spoczęli ani na chwilę, bo wróg nie odstąpił; milionami kropel przylgnął do wałów, murów i bezustannie szuka tam miejsca słabego, szuka szczeliny, czatuje na szparę, którąby mógł wtargnąć. Ale ludzie nie dają się podejść. Na przybrzeżnych wałach, tamach, murach, ustawili gęste stráže, co czuwają nad bezpieczeństwem i szereg wiatraków, które stercząc na groblach wciąż pompują wodę.

A piękna to walka, ta walka z morzem, w której wojownicy nikomu nie czynią krzywdy, w której nie leje się krew, niema jeńców, tylko pracą bogacą się ludzie w ziemię, siłę i energję.

Ta ciągła czujność i gotowość do pracy wytworzyła w Holendrach niezmierną pracowitość i energję. Każde dziecko tam wie, że Holendrowi nie wolno spocząć ani na chwilę. Każdy mieszkaniec Holandji idąc drogą, spogląda bacznie na groblę, na tamę i słucha, czy nie dosłyszycichego szmeru, sączącej się przez szczelinę wody, która wciska się przez tamę, przez mur. Jeżeli dosłyszycichy a groźny szmer, wnet woła na gwałt, a wszyscy rzucają pracę, dobytek i biegną ratować zagrożoną przez morze ziemię.

Tuż pod miastem Hagę wznosi się śliczny pomnik z białego marmuru, przedstawiający anioła wznoszącego w niebo wątłego chłopczykę. Główka dziecka zwisa na ramię anioła, oczy ma zamknięte, włoski rozrzucone, członki zwisłe — dziecko nie żyje.

Chłopczykowi temu rodacy wystawili pomnik, bo życiem własnem uratował kraj od zalewu.

Oto szedł z miasta do domu, w wietrzny, dżdżysty wie-

czór, gdy dosłyszał ów złowrogi szmer wody, co wyżłobiwszy w tamie szczelinę, wsączać się zaczęła w ład. Chłopiec usłyszawszy ten groźny szmer zadrżał, przystanął, dojrzał szparę. Zaczął wołać ratunku, ale w wietrzny, dżdżysty wieczór, nikogo nie było blisko.

Może kto nadejdzie, pomyślał chłopiec — zatkał paluszkiem dziurę, ale walka z morzem nie łatwa. Uderzyła fala jedna, uderzyła druga i powiększyła dziurę i oblała palec dziecka.

Chłopak czuł, że nie sprosta sile morza, zerwał się, chciał biec do miasta, ale zaledwie wyjął palec, woda buchnęła z otworu.

— Nim wróce, woda zerwie tamę — pomyślał chłopiec. Zrzucił kaftan, obwinał nim rękę, wbił rękę w otwór i tak zatkał dziurę.

Deszcz padał, wiatr huczał, morze biło rączyne, ale chłopak ani myślał opuścić stanowiska.

Ludzie znaleźli go rano martwego, skostniała, twarda jak kamień, martwa ręka zatykała otwór. Dziecko nie żyło, ale zwyciężyło morze.

Temu to dziecku wystawili Holendrzy pomnik, w miejscu, gdzie zginął, ratując ziemię i pracę ziomków.

Dzieciom holenderskim nie opowiadają bajek o czerwonym kapturku, o zaklętej królewnie, ani o wrózkach, co przed wiekami chodziły po świecie i rozdawały ludziom dary, lub spełniały ich marzenia. Chłopak który oddaniem własnego życia uratował od zalewu, całą okolicę, to ideał wszystkich dzieci holenderskich. Słuchając opowiadania o tym dzielnym chłopcu, i patrząc na jego pomnik dzieci holenderskie myślą: „I ja tak powinienem zrobić, gdybym się znalazł w takim położeniu. “

Jest jeszcze drugie podanie, które zna każde dziecko holenderskie, a którego bohaterką jest prosta dziewczyna od krów.

Podanie to mówi, że w bardzo dawnych czasach pewna dziewczyna doila krowy na pastwisku, aż tu ujrzała, że w krzakach i drzewach, otaczających łąkę coś w słońcu błysnęło, jak ostro wyostrzona kosa. Dziewczyna doi krowę, a patrzy w krzaki i widzi, że to nie kosa błyszczy,

ale broń — i nie jedna broń, ale za każdym drzewem, za każdym krzakiem, stoi żołnierz ukryty z bronią na ramieniu. Dziewczyna zrozumiała, że to wojsko nieprzyjacielskie ukryte za drzewami otoczyło osadę i czeka nocy, żeby napaść na bezbronnych, w śnie pogrążonych ludzi.

Nie uciekła ze strachu, nie narobiła krzyku, lecz doła dalej krowy, nie dając po sobie poznać, że widzi nieprzyjaciela, pomimo, że niebezpieczeństwo groziło jej życiu.

Dopiero wydoiwszy krowy, wzięła skopek w rękę i poszła ku chatom. Tu powiedziała co spostrzegła. Nim zapadł wieczór cała okolica była uwiadomiona o grożącym niebezpieczeństwie.

W nocy pogaszono światła i zdawało się, że cała osada pogrążona w śnie. Ale gdy wróg podstąpił pod osadę, przygotowani mieszkańcy stawili tak dzielny opór, że wróg pierzchnął w popłochu. A zwycięstwo to zawdzięczali Holendrzy roztropności i przytomności umysłu jednej prostej, wiejskiej dziewczyny.

Roztropność, przytomność umysłu, czystość, pracowitość — to główne cechy Holendrów. Umieją oni wykorzystać i każdy kawałek ziemi i sąsiedztwo morza i ze wszystkiego wydobywają co się da wydobyć. I tak w wilgotnej mulistej ziemi hodują słynne na świat cały hiacenty i tulipany. Cała droga między Haarlem i Leodjum prowadzi między kwietnymi łąkami tych roślin, których woń wprost odurza.

Sławne też jest bydło rasy holenderskiej, ich masło i sery.

I sąsiedztwo swego największego wroga — morza, umieli wyzyskać, wyławiając z niego śledzie. Ta mała rybka, to jedno z najważniejszych źródeł dochodu i zarobku Holendrów.

Dwa razy do roku rybki te wypływają z głębin morskich i nieprzejrzanemi masami podpływają do brzegów ładu. Kto nie widział tego napływu, ten wyobrazić sobie nie potrafi, co się wtedy dzieje na wybrzeżach. Miljardy śledzi zbite w masę zalegają milowe przestrzenie, łodzie nie mogą się przebić przez te masy, trudno w nie wbić wiosło, trudno założyć sieci.

Trzeba korzystać z napływu i chwycić idącą w rękę zdobycz.

Wszystka ludność okoliczna śpieszy wtedy ku wybrzeżom. Rzemieślnicy rzucają swe rzemiosło i pomagają w połowie. Wszyscy rybacy zastawiają sieci. Handlarze ryb, soli, beczek, przekupnie wszelkiego rodzaju, zjeżdżają na wybrzeża.

Każdy przechodzień wita wówczas pozdrowieniem: „Szczęśliwego połowu“, „Daj Boże dużo śledzi i t. d.“ Wszyscy wyczekują, czy też napływ będzie wielki, bo zdarzają się lata, w których śledzie napływają miliardami, a zdarza się, że nie przypływają do pewnych wybrzeży.

Rybacy zapuszczają w morze ogromne sieci o okach takiej wielkości, że młody śledź z niej może się wymknąć, a dorosły nie może wyjąć z nich głowy. Sieci te zastawiają wieczorem, a o wczesnym ranku wydobywają je z wody. Wielkie, obciążone śledziami sieci, trzeba wyciągać szybko i rzucać je w łódzie. Teraz szybko solić, bo im śledź, prędzej nasolony, tem jest lepszy, a nie posolony wczas, psuje się i marnuje. W tej pracy pomagają też i dzieci.

Jeszcze jedna rzecz uderza w Holandji każdego przyjeżdżającego do tego kraju, a to bajeczna wprost czystość nie tylko wewnątrz, ale i zewnątrz domów. Domy miejskie zewnątrz pokostowane czyszczą tam co tygodnia szczotkami, osadzonemi na długich dragach. Codzień czyszczą kłamki, trzepią dywaniki, a ramy obrazów i drobiazgi zakrywają lekkimi zasłonami. Wieśniacy zostawiają swe drewniane obuwie w sieniach, żeby nie wnosić do izb pyłu. Dziewczynki holenderskie biegają wciąż ze ściereczkami i piórkami.

Nawet stajnie są czyściutkie jak pokoje. Wszelką nieczystość w każdej chwili sprzątają, a ściany zdobią gałęzi i piórami, które zarazem chronią zwierzęta od much.

Dzieci holenderskie są nadzwyczaj poważne, już sam ich wygląd mówi o tem.

Widzicie na obrazku te dziewczynki idące z matkami do kościoła, ubrane tak samo jak starsze kobiety w długie szerokie spodnice, w czepki, z pod których nie wymkają

się kręcone, rozburzone wiatrem włoski. Włosy tych dziewczynek wyczesane gładko, zakryte białym czepcem, na-



dają wyraz powagi ich małym twarzyczkom, a szerokie, długie spodnice, chusteczki skrzyżowane na piersiach,

duże, drewniane trzewiki na nogach, robią je trochę niezgrabnemi.

Dzieci w Holandji są nadzwyczaj pracowite, nie marnują ani chwili czasu, wciąż wykonując jakieś drobne roboty, które przynoszą pożytek. I tak dziewczynki noszą zawsze na rękach zawieszane woreczki z robotą, a gdy przysiadą na chwilę, wydobywają robotę z woreczka. Najczęściej robią pończochę, a zapytane o odległość jakiejś miejscowości, odpowiadają jaką część skarpetki albo pończochy można zrobić, zanim się tam dojdzie.

Dzieci lubią tam bardzo psy i z psami też wspólnie wożą mleko na targ, bo pracowity holender i psa darmo nie żywi. Wieśniacy trzymają tam psy duże, które wożą na targ mleko, jarzyny, kwiaty, a dzieci idąc obok, pilnują wózka, a potem sprzedają towar.

Widzicie tu na obrazku tę parę dzieci. Idą na jarmark, ona niesie w koszyku coś na sprzedaż, on włożywszy ręce w kieszenie idzie obok siostry, z miną dzielną, znać w nim śmiałość, odporność i tężyznę. Idą sami i z pewnością dadzą sobie na targu doskonale radę; sprzedadzą, co mają do sprzedania i kupią, czego do domu potrzebują. Matka została w domu, bo szkoda jej marnować czasu na takie drobne roboty. Dzieci nikt nie oszuka, bo tam wszyscy uczciwi, zresztą rozumieją się na handlu.

Chłopiec ubrany jest jak ojciec; ma na nogach drewniane trzewiki, pończochy czarne, zapewne roboty siostry, szerokie spodnie i kaftan, ozdobiony srebrnymi guzikami. Ostatnia para guzików przy spodniach pozłocista. Na spodniach duża, porządna lata, a na głowie zasunięta czapa. Ręce w kieszeniach gotowe do bójki, gdyby go kto zaczepił.

Jakkolwiek dzieci holenderskie zaprawiają się wcześnie do pracy, ale i one, jak dzieci na całym świecie mają swoje radości, a święty Klaus, którego święto obchodzą Holendrzy w tym dniu, gdy u nas przypada dzień św. Mikołaja, jest na nich tak łaskawy, jak nigdzie może i napełnia suto przysmakami i drobiazgami ich „saboty“ które stawiają prze dkominem na noc z piątego na szósty grudnia.

Małe dzieci bawią się wesoło, a bawiąc się naśladują prace starszych.

I tak w lecie budują nad wodami tamy, które nibyto bronią ziemię od zalewu, puszczają na wodę malutkie okręciki, nibyto łowią ryby malutkimi sieciami, stawiają wiatraki. Chłopcy na nasypach kanałowych bawią się



w żolnierz, zdobywają wały, to znowu podnoszą gwałt, że woda zalewa ziemię i biegną wszyscy na ratunek. Pó- nieważ woda jest tam wszędzie, więc nie straszna dzieciom holenderskim a rodzice nie przestrzegają swych dzieci:

„nie idź nad wodę, bo możesz wpaść do niej“. Każde dziecko, umie tam pływać i dawać sobie radę w wodzie. Lalki dziewczynek mają czółenka, chłopcy puszczają na wodę rozmaite statki i okręty. Dzieci mają małe czółna i wożą się w nich po kanałach, wiosłując zręcznie. W zimie zaś ślizgają się po zamrzniętych kanałach, a ulubioną zabawą

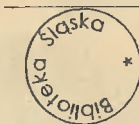


dzieci jest ślizganie się z małymi chorągiewkami o barwach narodowych i saneczkowanie.

W ogóle wszystkie zabawy dzieci holenderskich wyrabiają w nich zręczność, roztropność, odwagę, dzielność, tak bardzo potrzebną w ich położeniu.

Zdumiona tem, co widziałam w Holandji, pomyślałam: I nasza Polska może się poszczycić dziećmi, które

jak ów Hans którego pomnik wznosi się na tamie przed Hagą, poświęciły swe życie dla Ojczyzny. Ale nasze dzieci, to dzieci, co w szlachetnym porywie szły na śmierć — a dzieci Holendrów, to dzieci rosnące na wytrwałych pracowników, zdobywających nieustanną codzienną pracą bogactwo krajowi i dobrobyt sobie i rodakom. I nam zdalyby się bardzo te zalety.



Spółka Nakładowa „Odrodzenie“

Lwów, ul. Piłsudskiego 16

poleca

Książki dla dzieci i młodzieży

(Bogato ilustrowane w kartonowej oprawie).

NOWOŚCI:

ANNA LEWICKA: *W Jasnej Wsi*, z licznymi ilustracjami w tekście, opr. zł. 6.—

„ „ *Dzieci różnych Ludów*, bogato ilustrowane, oprawn. 7.—
Samo nazwisko autorki, przodowniczki polskiego piśmiennictwa dla dzieci, długoletniej redaktorki „Małego Światka“ roztarcza za wszelką reklamę.

W Jasnej Wsi daje nam autorka obraz codziennego życia wsi polskiej, skreślony jednakże z takim umiłowaniem ludu, jego zwyczajów, trosk i radości, z taką poezją naszej przyrody, iż książka ta jest jedynym hymnem ukochania szarej wsi Polskiej.

Dzieci różnych Ludów. Z właściwym tej autorce mistrzostwem dają nam obraz życia, zwyczajów, zabaw, smutków i radości dzieci chińskich, japońskich, indyjskich, dzikich ludów Australji, dzieci skandynawskich i t. d. z uwzględnieniem ich rasowych i etnicznych właściwości, z opisem odnośnej przyrody, krajobrazu, budownictwa, co wszystko podkreślone jest mistrzowskimi poprostu i wiernymi ilustracjami.

Książki wydane wytwornie na papierze dziełowym formatu 4-o z ilustracją okładkową na papierze kredowym, bogato ilustrowane i twardo kartonowane.

J. BAŁABAN: *Dzieje Polski* (674 stron. 266 ilustracji), broszurowane . 10.—
oprawne . 12.—

Książka, wydana wytwornie, zawiera całokształt dziejów Polski, podany we formie lekkiej i łatwo przystępnej. O wartości jej świadczy najwymowniej fakt, że w krótkim przeciągu czasu doczekała się już czwartego wydania. Dzieła tego nie powinno braknąć w najmniejszej nawet bibliotece.

Bajki i opowiadania przyrodnicze, z licznymi ilustracjami, zebrał i opracował M. Rościszewski (str. 152) karton . 5.—

Zbiorek ten łączy w sobie bystrą spostrzegawczość, uczucie patriotyzmu dla ziemi ojczystej, z serdecznym, prostym humorem.

Bajki i baśnie ludów słowiańskich, z licznymi ilustracjami. Zebrał M. Rościszewski (str. 160) karton . 5.—

Nieoceniona strawa duchowa dla naszej dziatwy, a równocześnie interesująca i pożądana lektura dla miłośników ludoznawstwa.

Bajki polskie. (K. Makuszyński, M. Kawecka. J. Moszyńska, J. Gella), ilustrowane (stron 104) karton . 2.50

Ulubiona i zawsze mile widziana książka wśród małych czytelników.

J. BANDROWSKI: *W kraju orangutanów i rajskich ptaków*, powieść podróżniczo-przyrodnicza ilustr. (str. 170) karton . 4.—

Na tle bujnej, wspaniałej, podzwrotnikowej przyrody rozsnuł autor swą opowieść, pisaną barwnie, żywo i interesująco.

Z. FEDEROWSKI: „*Biała sarenka*“ (str. 164) z rysunkami prof. Tad. Rybkowskiego, karton . 4.—

Wstrząsające obrazy z życia osadników amerykańskich i ich

- walk z czerwonoskórnymi. Powieść, którą każdy młody chłopiec pochłonie poprostu.
- W. MŁODNICKA: *Dziecko Cyrku*, powieść dla młodzieży, ilustrowana (str. 144) karton 3.—
- *O naszych górach*, powieść dla młodzieży, ilustrowana (str. 118) karton 3.—
- Powieści popularnej autorki cieszą się zasłużonem uznaniem i sympatją zarówno dzieci, jak i starszej młodzieży.
- I MROZOWICKA: *Marzenia Julka*, powieść dla młodzieży, ilustrowana (str. 160) karton 3.—
- Mało jest książek równie miłych a pożytecznych, owianych gorącym umiłowaniem ziemi rodzinnej.
- ARTUR SCHROEDER: *Orlęta* 3.—
- Bohaterstwo lwowskich dzieci, przedstawione świetnie przez znanego pisarza, uczestnika tych walk. Książka ta wiwna w każdym domu zająć poczesne miejsce.
- H. ZBIERZCHOWSKI: *Oczyma dziecka*, opowiadania wierszowane, z ilustracjami. (str. 56), karton 1.—
- Prześliczne powiastki wierszem, ozdobione licznemi ilustracjami.

MOJA BIBLIOTEKAZKA

BAJKI I POWIASTKI:

Tomiki od 1—24. Cena tomiku	0.20
podwójnego	0.35
Tomik 1. <i>Upiór na łące duchów — Złoty Ludwik</i>	
„ 2. <i>Sędzia z Bergen — Kawalek chleba</i>	
„ 3. <i>Natchnienie Rogera — Legenda o pająku</i>	
„ 4. <i>Ludowy Karzełek — Pozory mylą</i>	
„ 5. <i>Rajmund Fargel — O złotowłosym żebraku</i>	
„ 6. <i>Liczyburak i Wojtek</i>	
„ 7—8. <i>Fatma i jej brat — Podstęp Marszałka</i>	
„ 9. <i>Zasadzka pod trzema dębami — We własnych siłach</i>	
„ 10. <i>Zwycięstwo ducha — Mały latarnik — Wdzięczność przemytnika</i>	
„ 11. <i>Androkles i Lew — Najlepszy doradca — Opowieść o króleronie Bercie</i>	
„ 12. <i>Świerki — Perły</i>	
„ 13. <i>Przygody aktora w Indjach — Historia o pajacu Arlekinie</i>	
„ 14. <i>Kradzione nie tuczy — Córka Emira</i>	
„ 15. <i>Samochwał — Bajka wielkanocna — Niebezpieczny las</i>	
„ 16. <i>Chłopiec z Marokko — Dzwon</i>	
„ 17. <i>Egoista</i>	
„ 18. <i>Synowie Radży</i>	
„ 19. <i>Przygody wujaszka z Kongo — Bajka o dobrym królu</i>	
„ 20. <i>Władca gór — Drzewo figowe</i>	
„ 21—22. <i>Murzynek Koko — Trzydziestu tatusiów i trzydziestu stryjków — Benjaminka — Bajka o Elfrach i dobrym Janku — Honor żaków krakowskich</i>	
„ 23—24. <i>Królowa róż — Słuszną karą — Wet za wet.</i>	

TOMIKI ZBIOROWE.

od Nr. 1—8	1.50
„ „ 9—16	1.50
„ „ 17—24	1.50

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000917305



II 991734